

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 20 (33)

WARSZAWA

SOBOTA

19-V-1934 R.

PIION

Biblioteka
UMCS
Lublin

4687/91A

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

J. E. SKIWSKI

CZY HERETYKA WOLNO ZABIĆ?

A niechaj mowa wasza będzie: Jest, jest. Nie, nie. A co nadto więcej jest, od złego jest.

Mat. V, 37.

Stosunek sfer oświeconych do katolicyzmu odbył w ostatnich dziesięcioleciach ogromną ewolucję. Dawne metody krytyki zostały zdyskredytowane, poniehane, ośmieszane. Na ich miejsce wprowadzono nowe. Katolicyzm, jak wogóle religia, zdobył nowe punkty oparcia w psychologii i socjologii. Odrwane racjonalistyczne mędrkowanie, tak niegdyś modne — dziś do nikogo nie przemawia, spotyka się z drwinami i lekceważeniem.

Na czym ta ewolucja polega? — Na utrwalonem poglądzie, że racjonalistyczna krytyka religii typu ośmnastowiecznego i późniejszego, pozytywistycznego, jest bezpłodna i zagadnienia religijnego wogóle nie dotyczy; że zrozumieć rolę religii w życiu można jedynie, wychodząc z założeń psychologicznych, zwracając się do doświadczenia religijnego. Mędrkowania Voltaire'a nikogo dziś nie przestrasza. Wiemy już, że wszystkie czysto dyskursywne dowodzenia „absurdalności” dogmatów religii uderzają w próżnię, że biorą za swój przedmiot nie treść religijną występującą w przeżyciach człowieka wierzącego, ale pewnie nie mówiąc i przez nikogo wewnątrznie nie realizowany abstrakt, który o niczem nie mówi, niczego nie jest wyrazem.

Drugim punktem nowoczesnej krytyki jest wprowadzenia momentu socjologicznego do religioznawstwa. Nie można o historycznej i społecznej roli religii rozprawiać w ten sposób, jak gdyby życie religijne rozwijało się w duszach bez okien, jak gdyby nie urabialo pewnych postaw i nie było samo źródłem pewnych faktów socjalnych. Przykładanie kryteriów zbyt prostych, np. suche porównywanie zasad chrześcijaństwa z polityką kościoła i wysnuwanie stąd wniosków potępiających dowodzi braku zmysłu historycznego. Potrzebne tu jest szersze tło, spojrzenie bardziej przenikliwe, uwzględniające właściwości epoki, umiejące — nie zrażając się pozorami — ocenić skutki kulturowo-społeczne takiej lub innej polityki kościoła.

O ile pierwszy moment, psychologiczny, prowadzi do istotnego pogłębienia życia religijnego i może religii wyjść na dobre, o tyle zbytne przejście się momentem drugim prowadzi do pragmatyzmu religijnego, polegającego na ocenianiu i wartości religii ze skutków, które sprowadza w zakresie spraw nieraz nic z nią wspólnego nie mających. Ten właśnie sposób patrzenia, jakże jest charakterystyczny dla tak dzisiaj modnego filozofii katolicyzmu, nieraz będącego żywym zaprzeczeniem ducha chrześcijańskiego.

Ten pragmatystyczny stosunek do religii w połączeniu ze wzmocnionym prądem psychologicznym przeciw dawnemu racjonalizmowi sprawił, że zarzuty wysuwane przeciw kościołowi, które jeszcze lat temu czterdzięci laty uważano za kardynalne i wypowiedziano je z dużą pewnością siebie, — dzisiaj są polem popisu tylko staromodnych wolnomyślicieli, wysuszonych ateistów, nie mających ani posłuchu w masach, ani powagi wśród sfer oświeconych.

Dziś krytykować np. inkwizycję — to

niemal narazić się na śmieszność. Usłyszy się w odpowiedzi najpierw to, że Kościół, a raczej katolicyzm, nie odpowiada za gorsze nawet czyny i błędy swych sług w poszczególnych epokach, a następnie że nie można sprawy rozpatrywać ze stanowiska prostej zgodności pomiędzy przykazaniem miłości bliźniego, będącym osią moralną Ewangelii a postępowaniem Kościoła w pewnych epokach i warunkach; że trzeba na rzecz spojrzeć szerzej, ze stanowiska „postawy” społecznej i moralnej, którą kościół w ludzkiej wyrobił i pod tym kątem rzecz dopiero ocenić. Na tle tego nowego stosunku do katolicyzmu wyrobił się nawet pewien snobizm, którego widowym efektem jest odsuwanie jako bezprzedmiotowego i „ciasnego” zagadnienia odpowiedzialności Kościoła za te lub inne jego posunięcia, co rzekomo jest sprzeczne z „głębszym” ujęciem katolicyzmu. Ten snobizm rozrasta się niekiedy do rozmiarów pokąźni, prowadzi — jak o tem miałem sposobność się przekonać, przeglądając jedno z naszych pism, występujących pod sztandarem katolicyzmu — do twierdzenia, że rozróżnienie katolicyzmu od kleru jest szkodliwe, że krytykując kler, podkopuje się autorytet katolicyzmu, działa na jego szkodę, że krytyka taka, jeśli jest konieczna, to odbywać się powinna przy drzwiach szczerze zamkniętych.

Stanowisko takie uważam za niesłuszne i szkodliwe. Utrzymując w całej sile prostacze zrównanie Bóg — ksiądz, tem samem daje się asumpt do rozumowania: „skoro ksiądz żyje z gospodynią, to niema Boga”. — Oto wieczny schemat myślenia prostackiego, stykającego się z materjami, których nie może ogarnąć. Polityka ochrania „za wszelką cenę” kleru, urządzeń kościelnych, całego aparatu środków i metod najzupełniej „doczesnych”, prowadzących wyłącznie do umocnienia władzy Kościoła — utrwała ten sposób myślenia w sposób znakomity. Odwrotnie, otwarta krytyka tego co się dzieje, może mieć jako efekt pogłębienie życia religijnego. Może nauczyć ludzi szukać głębiej — i głębiej, nie zrażając się tem, co dojrzą na powierzchni — znajdować.

Jak pisałem o tem niedawno w artykule „Katolicyzm omylny i nieomylny”, istnieje w łonie katolicyzmu zadziwiający paralelizm pomiędzy wysoką tolerancją i głębokim zrozumieniem potrzeb życia religijnego, doskonaleniem form i treści tego życia, z czem wiąże się logicznie uzasadniony krytycyzm wobec realnych poczynań Kościoła — i doskonałym pogodzeniem się z tem co się w kościele dzieje. Na każdą krytykę skierowaną przeciw postępowaniu kościoła, kiedy ta krytyka dotyczy przeszłości odpowiada się: „och, to tylko ludzie! Jakże można za ich błędy winić katolicyzm”, — przyczem słowem tym zazwyczaj towarzyszy westchnienie; kiedy jednak chodzi o Kościół współczesny, to wielokrotnie doświadczenie, dowodzące że przed nadzyciami władzy nie chroni człowieka nawet moc nadprzyrodzona, że przeto należy tej władzy odjąć środki zewnętrznego przymusu —, nic nie pomogło, i dziś jak dawniej, zewnętrzny nacisk kościoła na życie utrzymany jest w sile, choć w nowych, dostosowanych do epoki formach. Wszystko się robi, aby zasięg tej władzy rozszerzyć,

jej siłę oddziaływania pogłębić. Stajemy w ten sposób wobec interesującej konstrukcji dwuwarstwowej. Na górze mamy katolicyzm idealny, który zrzuca za siebie odpowiedzialność za niefortunne poczynania katolicyzmu ułomnego. Równocześnie jednak ten katolicyzm ułomny otoczony jest wszystkimi gwarancjami, wyposażony we wszystkie sankcje, jakich tylko zapagnie. Jeśli się skompromituje, — wówczas katolicyzm idealny odżegna się od niego. Jeśli mu się powiedzie, — przywdzieje jego laury. W ten sposób nic się pozornie nie traci, nieczem nie ryzykuje: ma się jednocześnie zagwarantowaną nietykalność katolicyzmu jako doktryny, która nie odpowiada za posunięcia złych wykonawców, a wykonawcy cieszą się najszerzą władzą i wpływami, i postępują tak, jak gdyby każde ich posunięcie, każde rozporządzenie było autentycznym głosem Boga.

Charakterystyczne jest, że sący krytyczne, wypowiedzane, a w każdym razie tolerowane, o poczynaniach katolicyzmu w ubiegłych wiekach, nie prowadzą bynajmniej do stanowczego i wyraźnego odżegnania się od pewnych metod, do wyraźnego ich potępienia i poniechania przez Kościół. Taktyka katolicka — możnaby sądzić — idzie w tym kierunku, aby tych ostatecznych słów nie wypowiedzieć, aby od sprawy odwrócić uwagę ludzi ogólnikowemi zapewnieniami o „zmianie ducha”, ubolewaniami nad popełnionymi błędami, ani tych błędów nie precyzując, ani nie wypowiadając się przeciw nim otwarcie i zasadniczo. Ktoś patrzący z zewnątrz, mógłby odnieść wrażenie, że kościół chowa sobie te dawne porzucone narzędzia metody „na wszelki wypadek”, by znowu, kiedy lepsza nadejdzie sposobność, do nich powrócić.

Jedną z tych spraw zasadniczych wymagających stanowczej odpowiedzi w formie „tak” lub „nie” — jest zagadnienie stosowania przymusu w Kościele. Zapewne, że nie jest to — w tej chwili jeszcze — sprawa paląca. Nie mamy narazie powodu przypuszczać, że już w najbliższych dniach na Starym Rynku w Poznaniu zapłonie stos, którego płomienie pochłoną strzelistą postać profesora Ułaszyńskiego. Nie zanosi się również na to, by nam z polecenia władzy duchownej wybijano zęby za złamanie postu. W tej chwili to nie grozi. Niewątpliwie jednak rozrost Akcji Katolickiej i jej tendencje ku zagarnięciu pod swe opiekuńcze skrzydła największego obszaru życia, kontrola, którą chce nad tem życiem rozciągnąć i drogi, które już teraz kroczy, nasuwają myśl, że — biorąc zasadniczo — sprawa nie jest tak znów zupełnie oderwana od życia.

W bardzo ciekawie skomponowanej książce pamiątkowej ku czci prof. Marjana Zdziechowskiego, („Z zagadnień kulturalno-literackich Wschodu i Zachodu” Nr. IV) znajduję rozprawę francuską p. Laberthonnière, na którą pragnę zwrócić uwagę czytelników.

Tytuł rozprawy brzmi: „L'usage de la contrainte dans l'Eglise”. Poziom naukowy wydawnictwa i powaga autora świadczą dostatecznie o tem, że mamy tu do czynienia z rozprawą ściśle udokumentowaną. Autor po-

T R E Ś Ć:
NADCHODZĄ
BARBARZYŃCY
ROZMOWA Z KAROLEM
H. ROSTWOROWSKIM
ST. ESSMANOWSKIEGO
GIOVANNI PAPINI
SKOŃCZONY
CZŁOWIEK
EWA SZELBURG-
ZAREMBINA
WIOSNA
KAZ. ZAKRZEWSKI
UCZYMY SIĘ
REWOLUCJI
WŁADYSŁAW SEBYŁA
A K T E O N
JULJUSZ ZNANIECKI
TĘSKNOTA
KONSTANTY
TROCZYŃSKI
ESTETYKA
LITERACKIEGO
REPORTAŻU
WŁADYSŁAW LAM
O SZTUCE
LUDOWEJ
I SZTUCZNEJ
LUDOWOŚCI
ZBIGNIEW KUCHARSKI
O SZTUCE
NOWOCZESNEJ

dejmując z chwalebą szczerością zagadnienie: czy Kościół dzisiejszy potępi czy nie potępi użyć przemocy w walce z herezją. Wniosek zaś, do którego dochodzi Laberthonnière, jest ten, że niema podstawy do twierdzenia, by Kościół od stosowania przysmusu odzgnął się kategorycznie. Powołując się na zdanie M. Riquet, autor twierdzi, że Kościół wyznaje co najwyżej zasadę, że przemoc nie należy stosować wobec innowierców przy nawracaniu ich na katolicyzm. Skoro jednak katolik głosi naukę hereetycką, wówczas przemoc do niego nietylko może, ale powinna być zastosowana. Jak wiadomo powszechnie, Kościół oddawał w średniowieczu winnych herezji w ręce władzy świeckiej, wiedząc, że heretyka — w razie większej winy — czekają tortury i śmierć, zezwalając na wykonanie tej kary i domagając się jej wykonania. Co ważniejsze, najwyższe autorytety kościelne wypowiadały się za temi praktykami, a gorący zwolennicy inkwizycji bywali kanonizowani. Jak ściśle był Kościół żyty z praktykami Inkwizycji wykonywanymi przez władzę świecką, o tem może świadczyć fakt, że papież wypowiadał się kompetentnie w sprawie tortur, zalecając ich wykonywanie i dając „odpowiednie” wskazówki. — Wszystko to są rzeczy znane i stare. Słyszę już odpowiedź na te przypomnienia i widzę gest politowania nad tym, któremu się chce zajmować tą przebrzmiałą „starzyną”. To przecież „niczego nie dowodzi”, — powiedzą mi — największe błędy i winy papieży czy Kościoła nie mogą obciążać katolicyzmu idealnego. — Byłoby to zapewnienie ogromnie uspakajające, gdyby towarzyszyło mu wśród współczesnych teologów katolickich zdecydowane potępienie dawnych błędów, a w praktyce widoma zmiana polityki Kościoła, w kierunku jej uzgodnienia z duchem nauki Chrystusa. — Ale pod tym właśnie względem nie ma podstaw do optymizmu. Są zato mocne podstawy do pesymizmu. Tu pozwolę sobie zacytować słowa kard. Lepicier, pisarza współczesnego, wyjęte z rozprawy Laberthonnière'a. Oto te słowa: „Jeśli ktoś wyznaje publicznie herezję, lub stara się zgorszyć innych, bądź słowem, bądź złym przykładem, wówczas nietylko może, a nawet powinien być w ścisłym tego słowa znaczeniu ekskomunikowany, ale może również być sprawiedliwie zabity (dosłownie: justement tué), aby jego zaraźliwy i niezdrowy przykład nie stał się przyczyną zguby dla innych ludzi. W istocie, wedle Arystotelesa, człowiek zły jest gorszy od zwierza i więcej przynosi szkody, z czego wynika, że skoro nie jest rzeczą złą zabić leśnego zwierza, zwłaszcza gdy jest szkodliwy, to również może być dobrym uczynkiem (dosłownie: une bonne action) uśmiercenie gorszego heretyka, kaziciela prawdy boskiej i wroga zbawienia innych ludzi”. (De stabilitate dogmatis, I pars, art. VI 9, I.).

Jak więc widzimy, sprawy niewiele posunęły się naprzód, skoro takie apetyty są, a ludzie którzy je żywią, zostają najwyższymi dostojnikami Kościoła, co więcej, głoszą bez żadnego skrupowania poglądy, których nie powstydziliby się Torquemada, a Kościół ich dzieła aprobuje. Czegóż chcieć więcej?... Chyba wykonania tych krzepiących zapowiedzi? Nasi kochani optymiści powiedzą mi może, że to tylko „prywatna opinia” autora cytowanych słów — cóż Kościół ma do tego? — Ale praktyki inkwizycji też nie były dogmatyzowane — nie mniej się odbywały. Analogia nie jest znowu tak błaha.

Zapewne niema wśród czytelników Pionu osoby, której trzeba by było tłumaczyć, dla czego stanowisko wyrażone w wyżej przytoczonej, zupełnie nieprawdopodobnej cytacji, jest nietylko fałszywe, ale i z gruntu sprzeczne z duchem i literą nauki Chrystusa. — Wystarczy tylko pokrótce wskazać etapy fałszywego rozumowania, które do tak potwornego wniosku mogło zawieść.

Rozumowanie to polega na dwóch błędnych poglądach. Pierwszy z nich głosi, że należy uśmiercać heretyka jako gorszy ciela. Heretyk głosi fałsz, a przez to szkodzi ludziom, sprowadzając ich z drogi prawdy i dobra. Ale przecież Kościół uznaje, że zbawiony może być każdy człowiek dobrej woli i postępujący zgodnie z udzielonym mu przez Boga światłem. Skoro zaś tak, to nie można mówić o heretyku jako o przyczynie potępienia ludzi, którzy jego naukę

przyjmą. Ten wniosek wynika nie z założeń jakiejś filozofii laickiej, ale z samej nauki katolickiej, o ile naturalnie traktuje się ją serio.

Trudno też nie zauważyć w tem przewrotnym rozumowaniu jednego rysu, napelniającego szczególną odrazą. Oto niesłychanego zuchwałstwa w przypisywaniu sobie niemal boskiej wszechwładzy, w osądzeniu rzeczy tak irracjonalnej i nieuchwytniej jak wpływ jednego człowieka na dusze innych ludzi. Jąk gdyby ten wpływ można odważyć czy odmierzyć, jak gdybyśmy byli w posiadaniu kryteriów, pozwalających nam sądzić, jakimi drogami oadzająwają czyny i słowa jednych ludzi na dusze innych, jak gdybyśmy mieli w ręku całą mechanikę psychiczną człowieka i mogli przewidywać jej wstrząsy z nieomylnością. Jeśli co można stosunkowo łatwo przewidzieć, to jedno chyba: że głoszenie tego rodzaju poglądów jak cytowany pogląd kard. Lepicier jedna Kościółowi niezliczonych wrogów i to spośród ludzi najlepszych, najwyższej moralnie rozwiniętych. Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć jedną z tez psychologicznych Mauriaci, której tak świetnie broni w swych powieściach — tezę o niemożności wpływu zewnątrz na formowanie się duszy ludzkiej.

Druga przesłanka, usiłująca usprawiedliwić akty teroru kościelnego, polega na twierdzeniu, że Kościół jak każda na ziemi funkcjonująca instytucja, ma swoją dyscyplinę i swoje sankcje karne przeciw tym, którzy się spod jego praw wylamują. Skoro państwo wysłała na szafot ludzi działających na jego szkodę, to Kościół może postąpić podobnie ze swoimi szkodnikami. To rozumowanie uwydatnia straszliwe pomieszczenie pojęć; zapomina się, że Kościół nie jest mocarstwem wśród mocarstw, że został powołany do życia dla odegrania roli nadrzędnej wobec zagrożonej w walkach ludzkości, a nie dla zdobycia w świecie potęgi mocarstwowej. Jeśli się mówi, że dla dobra państwa i narodu monarcha a prawo ukarać śmiercią zdrajcę, to ma to ten sens, że monarcha karzący na śmierć swojego poddanego, działa (jeśli abstrahować od jego poglądów religijnych) w myśl założenia, że „dobrem najwyższym jest dobro państwa. I postępując konsekwentnie. Ale monarcha, któryby dla dobra swej dynastji działał na szkodę tego, co uznaje za dobro najwyższe to jest na szkodę państwa — działałby źle. W tem właśnie położeniu jest Kościół, skazujący na śmierć kogokolwiek, (lub domagający się tej śmierci) — to nie zmienia kwalifikacji moralnej, gdyż działa tylko dla umocnienia swej władzy, ale na zło tego, co jest w myśl założeń nauki, którą reprezentuje, dobrem najwyższym, to jest ewangelicznego nakazu miłości Boga i bliźniego. Możliwe są wszystkie środki do osiągnięcia celu, z wyjątkiem tych, które niweczą cel. Jeśli ktoś na to odpowie, że istnieje „konieczności życiowe” zmuszające Kościół do takich działań, to znowu zapomina, że celem Kościoła nie jest utrzymanie za wszelką cenę swej władzy, lecz głoszenie Ewangelji i umacnianie jej w duszach ludzkich. To co z ludzkiego stanowiska jest „utrata wpływów” — w wymiarze ideału chrześcijańskiego może być właśnie wielką zdobyczą. Trzeba się zdecydować: czy chodzi o zdobycie największej ilości ludzi zapisanych do wyznania katolickiego, czy o uchrześcijanienie świata? Jeśli pierwszy cel uznamy za istotny, wówczas pięjemy chwałę inkwizycji. Jeśli drugi — odzegnajmy się od niej raz na zawsze. Wiem, że życie nie uznaje tak jaskrawych rozgraniczeń, idzie drogą pośrednią. Tylko w rozumowaniu światła się tak łatwo ćwiartować. W istocie zaś oba prądy szły i idą w katolicyzmie równolegle.

Ale dziś właśnie słyszymy wciąż o tem, że prąd chrześcijański wziął górę nad „administracyjnym”. Ze Chrystus wygnał Torquemadę. I dlatego właśnie dziś, więcej niż kiedykolwiek, niepokoją objawy czy to nawrotu do dawnych tradycji, czy też tem niebezpieczniejsze bo samorzutne ich odrodzenie; odnosi się czasem wrażenie, że te tradycje wiodą dalej swój żywot, gotowe przy łada sposobności zakwitnąć czynem... Zapewne sprawa to małej wagi dla tych dla których katolicyzm to tylko sprzymierzeniec polityczny — choć i dla nich nawet sprawa nie jest bez znaczenia — biorąc na dalszą metę...

Do tych jednak nie apeluję. Zwracam się tylko do tych, którzy w katolicyzmie szukają prawdy absolutnej, którzy nie oceniają go ze stanowiska pragmatycznego, którzy nie chcą w nim widzieć sprzymierzenia czy ambasadora zaprzyjaźnionego mocarstwa, — ale przewodnika.

Pozwolę sobie tu na wyrażenie pewnego zupełnie konkretnego pragnienia. Wychodzą w Warszawie kwartalnik katolicki „Verbum”. Wiem, że współpracują tam ludzie najlepszej woli a przytem wysoce kompetentni w sprawach katolicyzmu. Daleki jestem, rzecz prosta, od narzucania pismu tematów dyskusyjnych, jednak nie widzę uchybienia przeciw lojalności i poszanowaniu indywidualności pisma w wyrażeniu skrom-

ego życzenia, by poruszyło na swych łamach tę sprawę tak aktualną, tak istotną w dzisiejszym życiu katolickim, sprawę o której takiego lub innego rozstrzygnięcia zależy stosunek do katolicyzmu elity moralnej dzisiejszej ludzkości. — Czy dziś jeszcze heretyka wolno zabić: tak czy nie? Czy stanowczo nie, czy tylko w pewnych wypadkach? Czy też może sprawa ta jest „nieaktualna” i „nieistotna” i nie warto jej poruszać? I przy okazji: co zrobiono z przeszłością inkwizycyjną? Czy Kościół od niej się odzgnął stanowczo i śmiało, czy może tylko warunkowo i do pewnego stopnia? — To są rzeczy dla laika bardzo ważne, a dzisiejszy katolicyzm tak troskliwą otacza opieką właśnie nas, laików.

NASTROJE I DĄŻENIA MŁODZIEŻY FRANCUSKIEJ

Tygodnik „1934” w kolumnie, poświęconej młodzieży świata (Jeunesse du Monde) przynosi odgłosy ankiety, o której pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów Pionu. P. Thierry Maulnier, stały feljetonista tej kolumny, w artykule p. t. Młodzi i ich poprzednicy usiłuje na podstawie odpowiedzi ankietowych dać syntetyczny obraz stosunku młodzieży francuskiej do starszych.

Z jego słów wynika, że młode pokolenie francuskie żywi najwięcej uraz do swych bezpośrednich poprzedników, do tych, którzy brali udział w wielkiej wojnie i ich właśnie obwinia o kryzys przedwzrostkiem moralnym, jaki pozostawili w spadku młodzieży. Jeden z ważnych zarzutów — to, że nie usiłowali wziąć władzy w swe ręce, że nie dążyli do odegrania w życiu społecznym roli, należnej im, jako pokoleniu walki. A jakież są źródła tego negatywnego ustosunkowania do starszych? Thierry Maulnier dochodzi do następujących wniosków. „Ich (młodzieży) chęć wywołania się od przeszłości rodzi się przedwzrostkiem i gwałtownego pragnienia oparcia się na samych sobie, działania samodzielnego. Jest w tem jednak pewien znamieny rys. Niektórzy uważają istniejące wartości, idę odziedziczone, nie, nie za pokarm i potrzebny drogowskaz, lecz za więzy, przeszkody. Te idee, te wartości, któremi żywili się generacje poprzednie są dla młodej generacji jałowe, nieplodne: trupy wartości, trupy myśli. Tutaj wkraczamy w dziedzinę nietzscheanizmu trochę zbyt łatwego.

Młodzież nie solidaryzuje się z poprzednimi generacjami nietylko naskutek jakichś wymagań intelektualnych, cokolwiek sztucznych, nie naskutek troski o to, aby wszystko zawdzięczać sobie, ale dlatego, że spadek, który jej ofiarowują, zdaje się składać z fałszywych idei, z przeciętnej rutyny i z przedawnionych instytucji”. Naogół młodzi uczestnicy ankiety dość pesymistycznie oceniają w swych odpowiedziach stan umysłowy i moralny, w jakim znajdują się rzesze młodzieży francuskiej, pozatem zaś rzucają oskarżenia pod adresem pokolenia wojennego, nieraz bardzo ciężkie jak naprz.: „Oni znają furi środków, prowadzących do osiągnięcia czegoś, do wybicia się, lecz nie mają ani jednego, któryby ich uchronił od głodu, wojny, oszukaństwa, nieszczerości. Wszystko to nie jest trwałe.”

Najlepiej scharakteryzują stan młodzieży, jej braki i potrzeby wyrywki z odpowiedzi na ankietę. Oto co pisze Bertrand Motte (19 lat) o swych rówieśnikach.

„Jeżeli młodzież francuska nie zajmuje należnej jej pozycji, to sama sobie winna, bo powinna ją wziąć. W istocie jest rzeczą pewną, że ci, którzy trzymają ręce na dźwigniach kierowniczych, nie będą szukać młodzieży, aby je jej ofiarować. Jeden ze starszych p. Jeanneney uprzedził już młodzież: władzy się nie żąda, władzę się bierze. Młodym brak najbardziej właśnie woli i prostego pragnienia działania”. Poceła wskazując na niechęć młodzieży do parlamentarizmu, Bertrand Motte zwraca uwagę, że nie wstępuje ona do żadnych antiparlamentarnych organizacji politycznych ani prawicowych ani lewicowych. „Nie, młodzież czeka. Dlaczego? Młodzież nie wie. Kiedy się ją przyciska do muru, oświadcza, że nie chce przechylić się na żadną stronę, ponieważ wszystko jest zgłębione: uogólnienie pośpieszne i niepewne, rozumowanie na krótki dystans i wyłącznie negatywne. Młodzież zdaje się wyobrażać sobie, że należałoby zmienić wszystko, ma się rozumieć z pomocą młodzieży, ale tak aby ta ostatnia nie potrzebowała się trudzić, — i że spełnieniem obowiązku a nawet czemś więcej już jest, jeśli daje się aprobatę temu, kto chce działać. Młodzież nie przyjmuje żadnych przysłów, których jej się proponuje, ponieważ jest mocno zdecydowana nie brać żadnej odpowiedzialności, nie troskać się o nic... Pomiędzy potrzebami młodzieży jest jedna, której się nie wyjawia, bodaj najważniejsza: potrzeba duszy. Młodzież współczesna — to ciało bez życia, zajmujące pozostawione dlań miejsce, i zachowujące biernie nadane mu położenie.” Przyczyn tego faktu doszukuje się młody człowiek w braku przynów-

ów: „jesteśmy generacją, pozbawioną naturalnego szeregu przywódców, których znaliśmy w elicie generacji poprzedniej. Ci, którzy potrafiliby, sądzą, ożywić i prowadzić, olbrzymią rzeszę młodych 1930, która błądzi bez celu i przewodników, leżą potrosze wszędzie na linii frontu. Nazywali się Psichari, Péguy, Alain Fournier, zmarli w osiemnastym, dziewiętnastym, dwudziestym roku życia, nie zdążywszy się objawić... Ci uwodziciele ludzi zmarli skoszeni pierwsi na przedpiersiach okopów. Zadne pokolenie nie wystarcza samo sobie. Bierze od poprzedzającego, daje następnemu. Moralnie i umysłowo jesteśmy pokoleniem pozbawionem głowy.” Tak brzmi konkluzja.

A 22-letnia Lucienne Manalt, charakteryzując podobnie stan młodzieży, oskarża również poprzedników: „Któż popełnił błąd jeśli nie nasi nauczyciele, rodzice, starsi, ci, którzy w ciągu lat przykładali się przedwzrostkiem do tego, aby odjąć społeczeństwu wszelkie zasady porządku. Oni to zrobili z człowieka, we wszystkich klasach, kogoś nieograniczonego (illimité). A to nie symbol wielkości, lecz anarchji i dekadencji”.

Czegóż więc pragnie, jakiego człowieka, młodzież?

„Człowiek ma sobie wyznaczyć granicę, wybrać, lecz powinien też wstąpić w otoczenie społeczne, któreby mu pozwoliło przeżyć życie, jakie sobie wybrał. Oto czego pragnie młodzież francuska. My nie chcemy wszystkiego, chcemy rozsądnego ładu...”


Więcej znaczy teraz to, co myślimy, niż to co robimy. Istotnym jest widzieć jak się odgarniamy od pokoleń poprzedzających nas bezpośrednio. Romantyzm — głupi, materializm — gruby, dyletantyzm — destrukcyjny, różne teorie negacji.

Nie jesteśmy artykułami żywnościowemi, bawelną, zbożem, winem. Jesteśmy ludźmi. Nie chcemy, aby używano w stosunku do nas języka ekonomji czy finansów. Nasza choroba — to nie zysk, czy nierównowaga pomiędzy podażą a popytem.

Powstajemy przeciw nieludzkości tego społeczeństwa. Łakniemy wielkości, dzielności, wartości.

Wiek Odrodzenia wyjdzie z naszych rąk! Tak optymistycznym akordem kończy młoda studentka litanję niebardzo uzasadnionych, niedostatecznie udokumentowanych oskarżeń, i niejasnych młodzieńczych pragnień. Prawdopodobnie niedługo już przyszłość okaże, czy pokolenie, które objawia się w tej ankiecie sprosta zadaniom współczesności. Bierność może być pozorna, a działalność dopiero okaże, czy słuszne były ostre skargi pod adresem pokoleń poprzednich.

ws.



**WYDAWNICTWO
„D Z W O N”**

zapowiada polskie
wydanie słynnego dzieła

Prof. ERNESTA KRETSCHMERA

twórcy panującego kierunku
w charakterologii p. l.

ŁUDZIE GENJALNI

w przekładzie

Pawła Hulki-Laskowskiego

Książka ta, zawierająca około 260 stron
druku na papierze bezdrzewnym i 80
portretów na papierze kredowym, uka-
że się dn. 22 maja b. r.

GIOVANNI
PAPINI

SKOŃCZONY CZŁOWIEK

Powieść „L'uomo finito” *) o której wspominałem w artykule „Gorejący krzew Florencji” (Pion Nr. 14) jest duchową autobiografią, pisana w latach przełomu i kryzysu wewnętrznego, zakończoną afirmacją wiary na progu kościoła. Nigdy chyba w żadnej twórczości symbol i człowiek, namietność i filozofia, ziemia i bieg życia własnego nie złączyły się w taki szalony pęd spowiedzi żywiołu przez usta człowieka, jak w Rousseau, mesjaszu romantyzmu, Przybyszewskim, „Rousseau” modernizmu i Papini, późniejszym ewangelicznym mesjaszu.

Tłumacz.

XX. TROCHĘ PEWNOŚCI.

Nie proszę o chleb, ani współczucie. Nie pragnę pocałunków od kobiet, złota od bankierów, pochwał od „genjuszy”. Z rzeczy tych nie wiele sobie robię, „zarabiam” na nie, lub je sobie przywłaszczam. Natomiast proszę i błagam z całą pokorą, na jaką mnie stać, z całą siłą i namietnością mojej duszy o trochę pewności, o małą, lecz niezachwianą wiarę, o atom prawdy. Błagam Was i zaklinam na wszystko, co Wam jest najdroższe, zaklinam Was na życie Wasze, na Wasze Kochanki, na Wasze umiłowane idee, powiedzcie mi, czy jest wśród was ktoś, który posiada to, czego ja szukam, czy jest ktoś, który „zna”, „wie”, który żyje i porusza się w atmosferze prawdy.

Jeżeli jest, jeżeli się nie myli i nie okłamuje samego siebie, a odznacza się przytem wspaniałomyślnością, niechże mi zdradzi prawdę swoją pod przysięgą. Zapłacę mu, ile zechce i w jaki sposób zechce. Muszę mieć trochę pewności, muszę poznać jakiś ułamek prawdy. Nie mogę już dalej żyć bez tego. Nie proszę o nic, nie żądam niczego, a jednocześnie wiem, że to, o co proszę i błagam, to wiele, nazbyt wiele, ogromnie, przegromnie dużo.

Zawsze tylko tego szukałem. Od dzieciństwa żyłem tylko myślą o tem. Kolatałem do wszystkich drzwi, wpatrywałem się w oczy różnych ludzi, śledziłem poruszenia warg, zgłębiałem daremnie tysiące serc. Daremnie rzuciłem się w wir życia, tak, aby utonąć lub wymiotować; daremnie, zawsze daremnie psulem sobie wzrok nad starymi księgami, daremnie piersi moje rozdierał krzyk filozofów-rywali i daremnie, zawsze daremnie, przygotowywałem drogi objawieniu. Nie przyszedł nikt, nic się nie dokonało, nie odezwało się żadne echo, nikt nie odpowiedział...

XXIX. ZEJŚCIE W DOLINY.

Wróciłem... Nie mogę myśleć o tym powrocie, nie mogę określić, czem on się stał w życiu mojem. Piekielne płomienie wstępu palą moje oblicze, lodowaty dreszcz wstrząsa mem ciałem. Oczy zachodzą mgłą, zaciśkam zęby, serce w piersiach zalega mi kamieniem, a potem zaczyna znów walić, jak oszalale...

To nie był powrót, tylko ucieczka po klęsce i sromotny koniec. Pojąłem, że przeżyłem już najlepszą część życia mego, że skończyła się moja rola na świecie. Po tem, co mnie spotkało, mogłem jeszcze naturalnie jadać, sypiać, pisywać, doznawać różnych przyjemności („interesować sobą innych”, „wyrabiać sobie nazwisko”), ale metafizyczny bieg mojej duszy za jednym zamachem wstrzymany został. To nie okres rozwojowy się skończył — to skończyła się istota ludzka. Zgasła dusza czyjaś, a nie nadzieja.

Nadzieja, duma, doskonałość, boskość! O sny moje, prześnione na jawie, o entuzjazmie, istotnie poznany, o nienasycona i niecierpliwa miłość, która, na podobieństwo upalnych wiosen, nosiłaś już w swem łonie lipcowe skwary! Kto nie doświadczył rzeczy podobnych, kto, w ciągu długich i mrocznych nocy, nie czekał na otwarcie się drzwi, ku wielkiej światłości wiodących. Kto nie widział siebie na szczycie najwyższej góry, kto

nie czuł rywalem Boga, władcą ludzi, panem ziemi, stojącym poza dobrem i złem, utylitarzem i bezużytecznym, poza wielkimi i małymi, nikczemnymi i wzniosłymi ludzkimi sprawami, ten nie zdola pojąć, co czułem i co czuję dziś na myśl o tym powrocie.

Schodząc z wysoka, ze szczytów górskich, ale nie jak dumny pasterz, który opuszczając miejsca, zarosłe garejącymi krzewami, unosi w sercu kanony prawdy niewzruszonej. Nie jak pasterz, modlący się nocą w gaju oliwnym i idący ku śmierci, będącej życiem; ku męce, dzięki której wieczność się zdobywa.

Schodziłem niby ślepiec samotny. Ach, nie schodziłem — uciekałem! Uśmiech nadziei nie rozjaśniał mi lica. Wszystko skończyło się na zawsze. Rozpoczął się to, co przeciętne, niskie i podle! — i tak już miało pozostać, pozostać, pozostać! Zegnaj mi moja młodości! Zegnaj boska wielkości! Zegnaj mi życie prawdziwe!

Udałem się w góry, myśląc po głupiemu, że gdy wzniosę się na wysokość tysiąca lub dwóch tysięcy metrów, zbliżę się tem samem do Boga. Zamknąłem się w samotności, wyobrażając sobie, że istnieje jakaś inna samotność od tej, którą może stworzyć w swej codzienności człowiek silny i w sobie zamknięty. Składając głowę na rudych trawach górskich, leżąc z rozpostartymi ramionami, niby tytan ukrzyżowany, widząc przed sobą jedynie niebiańską nieskończoność poezji i wiary, drząc wewnątrz, gdy gwiazdy w mrocznym błękitie zmierzchu drzęc poczyniły, czekałem na upragnioną chwilę dokonania, na wybuch, na otwarcie się niebieskich upustów, na oślepiające objawienie, na cud! Świat jednak był głuchy na moje wołania, wszystko pozostało takie, jak przedtem. Zdało mi się, że szydzą ze mnie dalecy ludzie. Czulem za plecami ich chichot nikczemny!

— „Chciałeś być większy od nas. Wzniesłeś się ponad ludzkość? Czuleś wstręt dla naszej nędzy? A teraz i ty, jeśli żyć pragniesz...” (Plakała tylko jedna, daleka dziewczyna. Lecz, czyż plakała naprawdę? Byłaż szczerą? Może cierpiała tylko na skutek swej próżności zranionej?)

Zachorowałem. Opuściła mnie resztką sił. Wróciłem do osiedli ludzkich, do mego domu, wróciłem do bliskich i dalekich, wróciłem, jak wraca do więzienia ten, kto przez godzinę sądził, że jest ulaskawiony. Nie byłem już tym, kim przedtem, nie byłem tym, kim być chciałem. Stałem się jakimś monstrum, zimnem, zastygłym, nieszczęśliwym monstrum. Śmiertelnie błąd, doszczętnie wyczerpany i niezmiernie hardy — uciekałem od wszystkich. Nic mnie już nie nęciło w świecie ustalonych wartości społecznych. Odwróciłem się od przyjaciół. Oznajmiłem, że nie chcę widywać nikogo, że na pewien czas muszę pozostać sam, że powracam do dzikiej samotności mego dzieciństwa. Zamknąłem się w domu. Wyjechałem do innego miasta. Nie robiłem nic, nie pracowałem, nie odpisywałem na listy, nie odpyierałem kłamstw i oszczerstw, nie reagowałem na miłość kochającej mnie dziewczyny.

JULIUSZ
ZNANIECKI

TĘSKNOTA

Być może dał zaczęła się zbyt blisko,
Przyciągnął ją ulicy ciasnej chwyt
I naraz we mnie zrosło się to wszystko
W zamknięty tobie godzin szarych mit.

Z powodzi mroku miasto i pustkowie
Latarni sznur przewlekle poprzez zmierzch...
O tobie nic już miasto mi nie powie,
Ze smutnym „nic” rozrasta się mój wiersz.

Obłoki rdzawe płyną ponad domy,
Świetli się blade księżycowy sierp,
Ze srebrnej blachy gładko wykrojony
Na romantyczny i mistyczny herb.

Obłoki rdzawe wiozą mój sentyment,
A księżycowych światła wiotki len
Uderza we mnie twardym, ostrym klinem,
Uderza we mnie przeminionym dniem.

Wplątana toba w myśli mych ściernisko,
Samotna miłość rośnie mi jak dąb
I wiem, że dał zaczęła się zbyt blisko,
Tuż za dosięgiem mych spragnionych rąk.

Po tej chybionej próbie cóż jeszcze przemawiać do mnie mogło? Sztuka? Sława? Myśl? Czyż nie były to radości, które odepchnąłem od siebie, szczęśliwość, której się wyrzekłem, cele, nad którymi przeszedłem do porządku dziennego, nie osiągnąwszy ich wcale, ponieważ wydawały mi się za małe, za łatwe i za bliskie.

Kto pragnął wszystkiego, jakże się może byle czem zadowolić? Kto szukał nieba, jakże się może czuć dobrze na ziemi? Kto postąpił kilka kroków na drodze boskości — ten już nigdy do człowieczeństwa się nie ograniczył! Wszystko skończyło się, zamknęło się przedemną, wszystko utracone zostało. Nic już uczynić nie można, pocieszyć się? W jakim sposób? Plakać? Do placzu także energii i nadziei potrzeba. Ja jestem już nikim, nie wchodzę już w grę, niczego nie chcę. Stałem się martwą, nieruchomą rzeczą. Dotknijcie się mnie: jestem zimny, jak kamień, zimny, jak płyta grobowa. *Tutaj po grzebany jest człowiek, który się Bogiem stać nie mógł.*

XXXIII. CZEGÓŻ WY CHCECIE
ODE MNIE?

...A jednak wszyscy dobijają się o mnie. Wszyscy chcą mówić ze mną, żądają ode mnie, „mnie” właśnie ktoś pyta, czy czuję się lepiej, czy mi apetyt powrócił, czy wychodzę na spacer, ktoś inny, czy skończyłem już tę książkę i tamtą zacząłem? Spasła małpa niemiecka chce tłumaczyć moje książki, błada Rosjanka pragnie, abym koniecznie napisał pamiętnik, pewna dama z Ameryki marzy o zapoznaniu się z treścią moich notatek, milioner amerykański przysyła po mnie auto, abym przyjechał do niego na obiad i zwierzył mu się z mych planów i przeżyć, kolega szkolny nalega, abym mu odczytywał to, co z dnia na dzień napiszę, przyjaciel malarz błaga o pozowanie mu gozdzinami do portretu, dziennikarz chce się dowiedzieć, o których godzinach bywam w domu, przyjaciel-mystyk zasięga języka o stanie mojej duszy, a praktyczny przyjaciel o stanie mego portfela. Prezes jakiegoś towarzystwa życzy sobie, abym wypowiedział moję na zebraniu, a uduchowiona matrona zaprasza mnie na herbatkę, pragnie bowiem gorąco słyszeć moje zdanie o Jezusie Chrystusie i o słynnym chiromancie, który w tych dniach przybył do naszego miasta.

Kimże ja się stałem, na Boga? Jakież wy macie prawo płądrować po mojem życiu, kraść mi mój czas, grzebać w mej duszy, suszyć mi głowę, żądać, abym się stał waszym towarzyszem, powiernikiem i informatorem? Za kogóż mnie bierzecie? Za płatnego aktora, który, co wieczór, przed waszemi wstrętami pyskami, proszącami się o spoliczkowanie, odgrywa komedję inteligencji, za niewolnika, kupionego na to, by zaspakajał kapersy próżniaków, rozdając w podarunku wszystko, co wie i co robi? A może uważacie mnie za prostytutkę, która na pierwsze skinienie dostatnio ubranego mężczyzny podnosi sukienkę i ściąga koszulę?

Jestem człowiekiem, któryby pragnął żyć

zyciem bohaterskim i świat do życia znosić niejszym uczynił. Jeżeli w chwilach słabości, bezradności, lub wewnętrznej potrzeby, daję wam płomień mego gniewu, zmrożony w lodzie mych słów, jakiś sen, rzucony na malarzkie płótno mych zjaw — bierzcie go lub odrzucajcie — tylko, błagam, nie męczcie mnie, nie nudźcie, nie naprzykrzajcie się mi.

Jestem człowiekiem wolnym, nie mogę żyć bez swobody, bez samotności — muszę ustawicznie szperać w samym sobie, w mej hańbie i smutku, przestawać tylko z samym sobą, słuchać muzyki mego serca. Czegóż wy chcecie ode mnie? To, co pragnę powiedzieć — drukuję, to, co mam do rozdania — rozdaję. Ciekawość wasza przyprawia mnie o mdłości, wasze pochlebstwa upokarzają mnie, trują mnie wasze prośzone herbatki. Nikomu niczego nie zawdzięczam, nikomu nic winien nie jestem, mógłbym zrobić rachunek tylko z Bogiem, gdyby Bóg istniał. Ale Jego niema, a na was, psiakrew, nic mi nie zależy!

Nie zależy mi także na waszem uznaniu i na waszych pieniądzech. Och, gdyby mi mógł odnaleźć choćby dziesięciu takich, którzy czytają książki całą duszą, którzy współżyją z pisarzem, życzą mu dobrze, jak bratu, którzy marzą i mówią o nim w czasie swych melancholicznych, niedzielnych spacerów, karmią się jego myślą, upijają jego poezją, drżą na myśl o jego nieszczęsnym losie i czekają na jego słowo, jak prorocy czekali na objawienie — jakże byłbym wówczas szczęśliwy, jak stokrotnie wynagrodzony za przemilczanie mego imienia w przeszłości i za ten wrzask, koło mojej osoby, podnoszony dzisiaj!

Chciałbym przycisnąć do piersi ciebie, blade, smutny, zrozpaczony młodzieńcze, pierwszy i jedyny mój czytelniku, któremu odkrywam gorzki smak wielkości i gorączkową radość poezji. Jeden twój uśmiech, jedno silniejsze uderzenie twego serca, jedno twoje wdzięczne i ufne spojrzenie byłyby dla mnie większą nagrodą, niż ten skrzek papużki, niż te wszystkie wawrzynowe wieńce.

Nie chcę okłasków i okrzyków, nie chcę patrzeć na gęby rozdziawione z wyrazem zachwyty, nie chcę słuchać nieszczerých pochwał i pochlebstw fałszywych. Odbardzcie niemi wasze baletnice i waszych tłustych tenorów! Rzućcie żołędzie świniom, jeżeli dla bohaterów klejnotów nie macie!

Nim umrę z głodu i z zimna, jak kot bezdomny, chwycę się każdego zawodu. Będę szukał szmat i galganów na ulicach, stanę przed wrotami kościołów lub wejściem do kawiarni, aby prosić o jałmużnę, w imię miłości Boga, zgodzę się sprawować godność dozorczy ustępów publicznych, nauczę tańczyć niedźwiedzia na placach miast prowincjonalnych, a gdy mi już nic do stracenia nie pozostanie wybiorę zawód młodego adwokata. Jest to jednakże zawód, któremu bym się nigdy, przenigdy nie poświęcił, nawet w tym wypadku, gdyby mi do skroni przystawiano rewolwery.

Nie wybrałbym także rzemiosła pisarza-błazna, pisarza, pisującego po to, aby zabawić tłum, ohydne rzemiosła człowieka, który między styczniem jednego roku a styczniem roku następnego zmyśla różne intrygi, fabrykuje historie, „szuka” przygód, odświeża wspomnienia, płodzi romanse, improvizuje nowele i „tworzy” komedje, aby pląkał, śmiał się i wrzasał ten, kto mu placi i kto bije mu brawo.

Jakimże prawem ci blaźni publiczni mówią o piękności, ukazując tłumowi nadęte mordercy, skoro wieczorem, gdy zmierzch zapadnie, ukrywają pod paltem zarobek, osiągnięty z swoich dowcipów. Są (świadomie, czy też nieświadomie) prostytutkami wszechpożęznego plebsu, blaźnami, opłaconymi przez gawiedź, trubadurami, uzależnionymi od mięszczuchów, którzy po spacerku i po wypaleniu cygarka chcieliby co „poczytać”.

Jakąż jest w istocie różnica, jeśli o skutek chodzi, między wypaleniem cygara, a przeczytaniem noweli, między wypiciem butelki wina, a wysłuchaniem komedji? Pałac i czytając, zabija się nudę oczekiwania, słuchając komedji, lub upijając się, jak należy, wkracza się w inny świat, aby śnić i patrzeć na to, co nie istnieje. Jednakże jest pewna różnica, której na imię sztuka...

*) W najbliższym czasie nakładem jednej z firm wydawniczych ukaze się powieść Papini „Skończony człowiek” (L'uomo finito) w przekładzie Edwarda Boyé. Z dzieła tego wyjmujemy fragmenty poniższe.

DIALOGI AKADEMICKIE NADCHODZĄ BARBARZYŃCY

Rozmowa z Karolem H. Rostworowskim

Rzuciłem okiem po towarzyszach podróży. W jednym końcu przedziału, przy oknie dwie dziewczynki dyskutowały żywo na temat utworów muzycznych w wykonaniu... płyt Elektro-Syrena. Przy drzwiach starsza a różnoplciowa para z niemniejszym znawstwem analizowała zalety pasty do turystycznych butów, wonięjącej migdałami. Podróżny znaprzeciwka w braku rozmówcy zajął się dyskretnym studjowaniem mojej osoby. Wyjąłem z teczki egzemplarz „Milosierdzia”, podle zbroszowaną i nielepiej drukowaną na kiepskim, wonięjącym papierze książeczkę, którą nabyłem za uniwersyteckich jeszcze czasów niemalym kosztem, przypuszczalnie kilku studenckich obiadów. Chciałem możliwie jaknajdłużej, aż do chwili osobistego zetknięcia się z poetą przebywać w atmosferze jego utworów.

Za Zawierciem wyszedłem na korytarz, by rozprostować nieco kości. Za mną wysunął się podróżny znaprzeciwka.

— Przez dłuższy czas nie mogłem sobie przypomnieć, skąd pana znam — rzekł, przedstawiając się. — Dopiero „Milosierdzie” pomogło mi umiejscowić pana w zakresie literackich asocjacji...

Okazało się, że przed kilkunastu laty żył w przyjaźni z gronem młodych literatów krakowskich, Zdrojowców, Sympozjonistów, Formistów, Kataryniarzy, w kręgu zdarzeń, których magna pars fui.

— Rostworowski, jako „Reiselektüre” musiał pana w pierwszej chwili wprowadzić w zdumienie, nieprawdaż?

— Ah, Boże — westchnął — Książka poza wystawami księgarskimi staje się coraz rzadszym zjawiskiem. Któż dziś w ogóle czyta? A do tego poezje! — i rozpoczawszy od utyskiwań nad zanikiem czytelnictwa, przeszedł do jeremjad nad upadkiem kultury w ogólności. Kryzys teatru, nędza literatów, pogarda poezji, elektryczny plastyki, fotograficzny analfabetyzm czasopism, tandeta przekładów, popyt na lichą pornografię i t. d. i t. d. Przytaczał fakty, daty, cyfry. Aż wreszcie w duszy zrobiło mi się mroczno, niby na dworcu krakowskim, pod którego zakopconym dachem zatrzymał się właśnie nasz pociąg.

Nie poprawiły nastroju mury Sukiennic (o wiele bardziej obdrapanie niż przed dwunastu laty!), ani Rynek zaśmiecony przedświątecznym targiem. Nawet w pełnym słońcu, cennych obrazów i ślicznych ludwików salonie Rostworowskiego siedziałem posępny i w kasandrowym tonie rozpocząłem rozmowę.

Autor „Niespodzianki” zorientował się szybciej niż współplemieńcy Parysa.

— Ach, chodzi panu o mój pogląd na „powojenny”, jak pan powiada kryzys kultury. Przedewszystkiem muszę zaprotestować przeciw takiemu terminowi. Ludzie sobie zupełnego ewieka zabili z tym podziałem na czasy przed- i powojenne. Uwikłali się w nomenklaturę, której nie odpowiada żadna jasna zdecydowana treść. Historia zna tylko okresy ewolucyjne, trwające wieki. Żadna z dziejowych przemian nie może być podciągnięta pod jedną datę. Takimi datami, co niby słupy graniczne gmin, oddzielają starożytność od średniowiecza, a średniowiecze od czasów nowożytnych można od biedy posiłkować się w elementarnej nauce szkolnej; my na podobne uosymplifikowanie faktów nie możemy się zgodzić.

— Ma pan niewątpliwie rację — przyznałem. — Osobiście uważam te daty za skróty mowy potocznej, niemogące sobie rościć prawa do ścisłości. Dodam jednak na swoją obronę, że użył takiego terminu niedawno jeden z naszych najwybitniejszych pisarzy, pracujący wedle jego własnych słów nad wyławianiem szczątków przedwojennosci w powojennym dramacie polskim.

— Oh, literaci są szczególnie drażliwi na punkcie dokładnego rozgraniczania tego, co było, od tego, co będzie. Obracając się ciągle w zamkniętym kółku literackiego klanu, a z natury rzeczy dążąc do wyprzedzenia współczesności, lubią hojnie szafować słowami, jak: zacofanie, przedwojennosc i t. p.

— Przecież jednak coś się dzieje, coś się przetwarza, kształtuje, rodzi i to w tempie dość szybkim — zaoponowałem zlekka.

— Nie przeczę. Jesteśmy świadkami przemian społecznych, nawet olbrzymich. Ale jakkolwiek wielkie byłyby one, dla mnie mają charakter raczej formalny, niż treściowy. Nie ulega w nich zmianie najistotniejszy czynnik — człowiek. Jest ten sam, co przed wojną. Ma nos, oczy, nogi, całkiem tak samo, jak je miał przed rokiem 1914-tym.

— Lecz przecież pewne formy...
— Otóż to! — przerwał. — Zmieniają się

— Czy pan wie, co było pierwszym objawem upadku teatru? Niech pan uważa, wygłoszę teraz taką herezję, że pan podskoczysz...

Na wszelki wypadek zacisnąłem ręce wokół poręczy fotelu, niby przy wyrzucaniu zęba.

— Wie pan, kto sprowadził teatr na manowce i pochyłość upadku?

Cały zamieniłem się w wielką małżowinę. Rostworowski wytrzymał pauzę i wystrzelił w ciszę:

— Reinhardt.
Wraz opadł semafor wskazującego palca.

równocześnie śmietanka inteligencji coraz skwapliwiej uciekała od poważnej sztuki i szukała wytchnienia w przybytkach bardziej podkaszanej muzy. Klasycznym repertuarem interesowali się jeszcze tylko „mali” ludzie. Elita, mająca poprzepalane podniebienia, szukała coraz silniejszych wrażeń. Potrzebne jej były zbrodnie, skandale, wyrafinowana erotyka. Podobnie Stanisław August kazał sobie smarować talerze asafetą, żeby wreszcie doszukać się w potrawach „smaku”. Wysiki ludzi teatru szły w kierunku dekoracyjnej wymyślności. W tym właśnie momencie zaczął odgrywać coraz poważniejszą rolę niedawno wynaleziony...

— Kinematograf.

— Tak jest. Kino w epoce nasycenia wrażeń wrażeńi wzrokowemi na koszt upośledzonego słowa, posiadało kilka niezaprzeczonych plusów. Dobra czy zła akustyka przestała odgrywać swoją rolę. Odpadła potrzeba używania lornetki, która dając widzowi możliwość obserwowania mimiki pojedynczego aktora, zrywała równocześnie kontakt jego z całą sceną. „Zbliżenia” czynią pomoc optycznych przyrządów zbędną. W dalszym ciągu film daje dekoracje o jakich teatr zamarzyć nie może. A jeśli z chwilą udźwiękowania taśmy widz nie tylko widzi morze czy pędzący pociąg lecz słyszy szum fal lub gwizd lokomotywy, to estetyczne pragnienia jego zostają w całej pełni zadowolone. Odnajduje rzeczywistość z tą samą uciechą z jaką za moich młodych czasów stwierdzało się w jasną, miesięczną noc, że „księżyc wygląda tak pięknie jak w teatrze”.

Kino dokończyło reinhardtowskiego dzieła — wykończyło teatr. Jeszcze scenicznej reduty bronią lekka komedia, farsa i nagością wabiąca rewja, lecz pamiętajmy o słowach Mickiewicza, że społeczeństwa czy warstwy społeczne, które przestają interesować się tragedją a poczynają ciężyć do komedji, są warstwami skończonemi. Dotknęła je śmiertelna atrofja uczucia.

Jeżeli pan porówna z sobą trzy okresy — ciągnął — schyłek dziejów rzymskich, czasy przed Wielką Rewolucją i lata obecne, dostrzeże pan uderzające podobieństwo ich kulturalno-obyczajowego oblicza. Napotka pan te same smaki, upodobania, potrzeby; przekona się pan, że tak samo zainteresowanie budzi nagość, nie tylko fizyczna lecz i moralna, t. zw. — szczerść, polegająca na mówieniu o sobie wszystkiego w najdobitniejszych wyrażeniach. Jak dla tej ekshibicjonistycznej szczerści markizy i duchessy ancien regime'u robili propagandę Rousseau'owi, tak dziś roz reklamowuje się pamiętniki Urke Na chalnika. W rzeczywistości i tu i tam chodzi o tę samą rzecz — o coraz silniejszą musztardę dla przepalonych użyciem i nadużyciem podniebień.

— Właścicielom tych podniebień wróży pan gwałtowny upadek?

— Wróży go im historia, proszę pana. Moralny indyferentyzm sfer „inteligencji”, ich niezdolność do wielkich uczuć, do płomiennego umiłowania, czy gorącego oburzenia się a w następstwie i zastępstwie ślepe gorączkowe uganie się za podnietami, szukanie dreszczów i laskotek jest nieomylnym fenomenem, poprzedzającym zawsze przewalenie się tych sfer.

Elita przestała dziś przejmować się; stroni od dogmatów, przekonań, od artykułów jakiegokolwiek wiary, byleby w ich obronie nie musiała wybuchnąć świętym gniewem. Elita pragnie już tylko rozrywki, jedynego antidotum przeciw niculeczalnemu znużeniu, jakie ją opanowało. A, niech mi pan wierzy, nie wojna stała się tego znużenia powodem. Wojna wynika z innych pobudek i miała pod niejednym względem charakter autoterapii.

— Na wojnę patrzy pan jako na zjawisko historycznej biologji — przerwałem.

— Jako na zjawisko całkiem poprostu biologiczne; jako na biologiczną konieczność — tragiczną, straszną, ale konieczność.

— W czym tkwi więc przyczyna duchowego znużenia elity? — spytałem.



KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI

Rys. E. Głowacki

pewne formy. Formy postępowania. Ale też i na tem koniec. Człowiek zawsze po swojemu starał się i stara przystosować do panującej mody. A mody powracają... Obecna ma też swoją przeszłość.

— A więc różnice epok polegają na tem, że występują w nich kolejno na pierwszy plan różne cechy człowieczego jestestwa, ale nie ulega zmianie sam człowiek? — zapytałem.

— Tak jest. O tem łatwo nas może przekonać lektura Ajschylosa. Jeżeli bowiem nie napotykam trudności w zrozumieniu psychiki bohaterów jego tragedji, to widać ludzkie z przed półtrzecia tysiąca lat musieli być bardzo podobni do nas.

— W każdym razie nie w tem, że tłumnie zalegali teatr i to właśnie na sztukach tegoż Ajschylosa — mruknąłem przekornie.

— Zmierz pan do swego upadku kultury — uśmiechnął się Rostworowski. — A trafny wybrał pan przykład, bo właśnie w teatrze znajduje on swoje najbardziej miarodajne odzwierciedlenie. Tylko nie przeprowadzajmy linii demarkacyjnej przez datę roku 1914-go. Upadek smaku, artystycznej kultury daje się zauważyć w czasach wyraźnie przedwojennych. Można go było obserwować w latach 1907, 05, 04. I tutaj, rzecz ciekawa... — Rostworowski ostrzegawczo podniósł w górę wskazujący palec.

— Kto taki? — zapytałem.

— Reinhardt.

Nie podskoczyłem. Rzeczywiście nie do słyszałem za pierwszym razem.

— Reinhardt — ciągnął Rostworowski — pierwszy rozpoczął z teatru, którego istotą jest słowo, robić widowisko. Poczynania jego spotkały się z wielkim entuzjazmem. Coraz głośniej powtarzało się równie efektowny jak zgruntu fałszywy frazes, że teatr nie jest od gadania. Bawilem właśnie w tym czasie w Niemczech; nie śniło mi się wtedy nawet, że kiedykolwiek sam będę pisał dla sceny. Byłem świadkiem pierwszych sukcesów Reinhardta i początkowo ulegałem ogólnemu entuzjazmowi. Rychło jednak zaczęła budzić się refleksja, że przecież rozrywka czysto wzrokowa jest rodzajowo niższa, tańsza; że nie zmusza jak słuchanie do myślenia a gwarantuje patrzącemu dobre far niente umysłu. Innym wzrokiem spojrziałem na przedstawienia Reinhardta; zaczęły mi one teraz pachnąć początkiem upadku Rzymu, okresem, kiedy w opustoszałych teatrach zrzadka wystawiano jakąś sztukę, w najlepszym razie frywolną komedję, a powodzeniem cieszyły się mimi, walki gladiatorów, cyrkowe igrzyska. Nasuwały się ciękawie analogje. Tak w starożytności od Ajschylosa do Eurypidesa tak wtedy w Niemczech dramat nosował się po tej samej linii od klasyków po Sudermana. A

— W supremacji rozumu nad uczuciem. Cały wiek XIX szedł po linii kultuwowania intelektu. Stawiał ołtarze dla la Déese Reason i podporządkowywał jej uczucia jako służki coraz to pokorniejsze. A gdy wreszcie omal całkiem oniemiały w poddaństwie, rozum, pozostawiony sam sobie, nie wiedział co ma właściwie począć. Uwikłał się we własne antynomie. Gdyż do myślenia nieodzowne są pobudki uczuciowe.

— Jakież widzi pan wyjście z tych antynomij der... unpraktischen Vernunft?

— Tylekroć zaświadczone historią przyjszcie do góry „dołu”, t. zw. „barbarzyńców”. Natura nie znosi hipertrofji ani rozumu ani uczucia. Stąd naprzemiennie przypływy i odpływy tych pierwiastków w dziejach ludzkości. Po epokach przerosu intelektualnego przychodzą epoki t. zw. „barbarzyńskie”, w których górę biorą pierwiastki emocjonalne. Dzisiejsza inteligencja, entuzjazmująca się Nachalnikiem jest również dojrzała pod gilotynę jak duchessa z czasów Ludwika XVI.

— Jutrzemka nowej epoki jak ją pan zwie, barbarzyńskiej wynurzyć się ma z krwawej kąpieli?

— Niekoniecznie wszędzie. Zazwyczaj jak nas uczy historia jedno społeczeństwo przeobraża się w drodze krwawej rewolucji, reszta korzysta z gotowych cudzych doświadczeń. Przed stuleciem skorzystano z doświadczenia francuskiego, w naszych czasach mamy eksperyment rosyjski.

— Pańskim zdaniem upada więc nietylko kultura, co warstwy, reprezentujące ją przez pewien okres. Czyli słowami „Miłosierdzia” — „bo tak... da capo al fine”.

— Otóż to. Podkreślam, że widzę zanik kultury w sferach tak zwanej inteligencji, w sferach odbiorców nie producentów plodów kulturalnych. Nie mogę bowiem stwierdzić naprzykład upadku literatury polskiej. Popelniliłem głęboką niesprawiedliwość, nie pamiętając o świetnych powieściach Mariji Dąbrowskiej, o pisarzach tak ciekawie zapowia-

dających się jak Choromański, Rusinek, Kudliński.

— Z poetów pan nikogo nie wymieni?

— Z poetów...? Widzi pan, miałem na myśli tylko młodszą generację pisarzy i o nich właściwie tylko chciałbym mówić, a w tym zakresie trudno jest, przynajmniej tak niespodzianie, rzucić z pełnem poczuciem odpowiedzialności jakieś nazwisko.

— Rozumiem... lecz może dałoby się granicę wieku przesunąć o parę lat — nastawiam.

— Ha, gdyby była mowa o młodych wprowadzie lecz w każdym razie dojrzałych — rzekł ustępując uprzejmie mej natarczywości — wymieniłbym na pierwszym miejscu Zegadłowicza. Jego „Powsinogi”, „Do brą Nowinę”, pierwszy i trzeci tom „Żywota Mikołaja” uważam za przepyszne rzeczy.

— Tylko pierwszy i trzeci?

— Będę szczery — bez drugiego mógłbym się obejść. Cenię wysoko Zegadłowicza i widzę w nim jednego z najpoważniejszych kandydatów na fotel akademicki, lecz bezstronnie muszę stwierdzić, że jest nieopatrnie płodny.

— Ten zarzut często podnosiła krytyka.

— Ale jeżeli mamy wydać sąd o pisarzu to powinniśmy przedewszystkiem brać pod uwagę to co nam daje wartościowego, a nie to, co mu się tak prosto, po ludzku „nie udało”. Dla oceny Zegadłowicza są dla mnie miarodajne właśnie poprzednio wspomniane dwa tomy „Żywota”; mojem zdaniem należą one do najlepszych polskich powieści ostatniej doby. „Ballady” czytałem z prawdziwym wzruszeniem.

W tej chwili przypomniało mi się w jak wielkiej estymie sam autor „Żywota” ma Tuwima.

— Lecz skoro o dojrzałym pokoleniu mowa, nie zapomni pan chyba o Tuwimie. Rostworowski spojrzal na mnie przenikliwie.

— Pan przyszedł do mnie, panie doktorze, jako do tego stuprocentowego żydożery, nieprawdaż? Muszę pana rozczarować — nie jestem nim wcale. Jeden z moich najlepszych przyjaciół to był właśnie żyd. Tylko jeśli chodzi o ducha w sztuce to wyznaję zasadę: co żydowskiego Żydom a co polskiego Polakom. Tuwima cenię najbardziej za te utwory, w których semickie pierwiastki występują najwyraźniej. Nie cierpię zaś tej międzynarodowej muzyki i literatury tworzonej przez Żydów, która tak samo wygląda w Paryżu, jak w Berlinie, czy Warszawie; z prawdziwą zato przyjemnością idę na sztuki w rodzaju „Dr. Stieglitz” lub do synagogi by posłuchać autentycznych żydowskich melodji.

— Pozwoli pan, że powrócę jeszcze do poprzedniego tematu. Wierzy pan w odrodzenie kultury od dołu. Czy widzi pan jakieś symptomy tego odrodzenia?

— Owszem. Jutrzemkę odrodzenia widzę w likwidowaniu „nieśmiertelnych zasad” Wielkiej Rewolucji, którego to procesu jesteśmy świadkami. Ludziom wolność zaczyna już ciążyć. T. zw. „liberalizm” staje się przeżytkiem a miejsce jego zajmuje zdrowy pęd do autorytetu i hierarchji. Obserwujemy ten ruch we Włoszech, w Niemczech, u nas, ostatnio we Francji. Dół pragnie być rządzonej a że w intelektualizmie góry nie widzi żadnej dyrektywy, więc tęskni za człowiekiem mocnym, bezinteresownym, przedstawiającym potęgę uczucia i moralności. Takiemu da się wziąć za łeb. Można by też mówić o odrodzeniu religijnem jako drugim symptomem nadchodzących czasów. Widzimy je we Francji. Jak jest u nas, dokładnie nie wiem. Obawiam się, że odgrywają rolę momenty polityczne.

— Albo tak nazwany przez Kuncewiczową „fason”.

— Dobre wyrażenie — uśmiechnął się. — A tymczasem w katolicyzmie zasadnicze znaczenie ma rygor. Jest tem, ozem dyscyplina.

w wojsku. Jak pan nie nazwie armją zbrojnej lecz niedyscyplinowanej halastry, tak nie może uważać pan za katolików ludzi, nawet wyznających dogmaty wiary katolickiej, lecz nie wypełniających przepisów Kościoła. Stoją oni poza społecznością katolicką.

Dalszą rozmowę przerwał nam pan Pułowski, który przyniósł sensacyjną wiadomość o odnalezieniu skradzionego mu obrazu Lorenza Lotto.

— Wyobraź sobie — zwrócił się do Rostworowskiego — Pół roku szukała go policja. Jak kamień w wodę. I wiesz kto mi go wreszcie odnalazł?

— ? —

— Święta Teresa. Święta Tereska z Lisieux...

Kiedy opuszczałem Kraków, w restauracji natknąłem się na Zegadłowicza. Wręczył mi pierwszy numer redagowanej przez siebie „Wsi”.

— Masz — zawołał — Czytaj! Krzep się! Jeśli cię zgnilizna miasta jeszcze docna nie przeżarła.

Przerzuciłem kartki pisma.

— Emilu, robisz w polityce?!

— Organizuję wieś! — Zasoby świeżych, nieużytych sił! — Potęgę przyszłości! —

— Emilu, czy wy... „zdołu” wy „barbarzyńcy” macie zamiar zrobić rewolucję i wyrzucić zgnięte miasta?

Położył mi rękę na ramieniu jak Batory, mówiący: „discite puer latinam”.

— Ostatecznie ciebie będzie można oszczędzić. Przez przyjaźń ze mną. Zwłaszcza jeśli...

— Pośpieszny do Warszaaaawy! — huknął nad samem uchem portjer.

Chwyciłem walizkę i wybiegłem. Mój rachunek przy bufecie, mam nadzieję, uległował Zegadłowicz. Przez przyjaźń ze mną...

Stefan Essmanowski.

S Z Y M O N A S K E N A Z Y

Metodologia historyczna jako jedno z czołowych zadań stawia przed badaczem konieczność zrozumienia nietylko psychiki ludzi i kultury czasów, przezeń odtwarzanych, lecz również obowiązek dojrzenia ich plastycznie. Zadanie to jest konieczne, lecz urywa się ono już tam, gdzie zaczyna się kontakt między historykiem i odbiorcą jego dociekań naukowych; od chwili gdy badania uczynzonego przyjmować poczynają realne kształty syntezy, przeznaczonej dla ogółu, konieczność dojrzenia plastycznego obrazu już nie wystarcza — od tej chwili przybiera jeszcze obowiązek plastycznego odtworzenia wizji.

Zadanie to dla specjalistów jest naogół trudne. Rzadki jest typ uczonego, któryby zasób swej wiedzy łączył umiejętnie z talentem pisarskim, nie narażając się na miano popularyzatora. Utałał się niesłuszny pogląd, iż tylko książka pisana popularnie znajduje szersze echo wśród publiczności; przeciwnie, niefachowiec chętnie weźmie do ręki pracę o pełnej wartości naukowej, uwzględniającą wszystkie wymagania współczesnej metodologii, pod tym jednak warunkiem, by dawała ona również zadowolenie estetyczne, by posiadała formę jasną i wywoływała odbiór plastyczny. Nieprzebranieganie tej zasady przez uczonych ma skutek ten, że książka naukowa jest u nas (przezwyciężając) dzieje np. we Francji) czytana zazwyczaj tylko przez specjalistów. Nikt nie zaprzecza, iż jest to zjawisko ujemne, nie przynoszące pożytku ani wiedzy, ani społeczeństwu, ani autorowi.

Rzecz prosta, że nie w każdej dziedzinie nauki da się zastosować prawo pięknej formy — nigdzie ono jednak nie ma tak wielkiego zastosowania jak w historiografji. Historia, ta nauka o przeszłości, poparta intuicją twórczą badacza, staje się nauką o człowieku wogóle, ona to, jak mało która z gałęzi wiedzy, rozwija wszechstronność zainteresowania dla wszelkich stron życia ludzkiego. Lecz dopiero historia, widziana oczyma człowieka ożywionego intuicją twórczą, odtwarzająca przezeń z talentem rasowego pisarza, spełnia całkowicie swą rolę.

Historyków sumiennych jest wielu, lecz rzadki jest przykład historyka, mającego poczucie pięknej formy, umiejącego nadawać

wizjom przeszłości, kształty piękne i niezatarte. Taki badacz przeszłości dziejowej przemówi do wyobraźni, taki działa stokroć więcej niż dziesiątek innych, których prace, stojące na tym samym poziomie naukowym, ustępują mu pod jednym tylko względem — pięknej formy.

Dlatego też mało kto z naszych historyków potrafił dotrzeć pracami swymi do szerszych warstw inteligencji, niewielu po Szajnosze, Szujskim i Kubali oddziało na kształtowanie się światopoglądu historycznego mas, ustępując pierwszeństwa (jak to niejednokrotnie słusznie zaznaczano) powieści historycznej.

Wśród nielicznych wyjątków jedno z pierwszych miejsc zajmuje Szymon Askenazy.

Niema bodaj dzisiaj najmniejszej biblioteki domowej, w którejby nie można było znaleźć choćby jednego dzieła prof. Askenazego; niema chyba inteligenta, któryby nie znał choć jednej jego pracy. Ta popularność (w najlepszym tego słowa znaczeniu) wielkiego historyka wynika z dwóch źródeł: ciekawej, przykuwającej czytelnika treści, oraz wybitnej literackiej formy. Umiejętne operowanie słowem, wysoka technika pisarska, pochodząca bezwątpienia w znacznej mierze z wrodzonego talentu narracyjnego autora, sprawiły, że prof. Askenazy, chcąc trafić do czytelnika, nie potrzebuje zniżać się do popularyzatorstwa. Jasność wykładu, piękny styl sprawia, że prace Askenazego, począwszy od pierwszych jego „Studiów historycznych”, krytycznych”, poprzez „Księżca Józefa Poniatowskiego”, „Łukaszińskiego”, a na różnych „Wczasach historycznych” kończąc, pochłaniał czytelnik jednym tchem, jak najpiękniejsze romanse historyczne. Intuicja autora, oparta na wielkiej wiedzy i niecodziennym wczuciu się w psychikę odtwarzanych czasów, daje obraz plastyczny, przemawiający żywo do wyobraźni, niezacierający się w pamięci. Któż z nas nie pamięta przepięknego w swej prostocie opisu śmierci „polskiego Bayarda”? Komu nie utkwiła w wyobraźni tragiczna postać Łukaszińskiego? Któż z nas dzięki Askenazemu, nie uplastyczył sobie koszarowego obrazu kwietyzmu epoki saskiej, ponurej wizji ostatnich lat Rzeczypospolitej, krótkiego renesansu napoleońskiego i dusznej atmosfery przedlistopadowej Kon-

gresówki? Pokolenie, które miało walczyć o niepodległość, karmiło się nietylko eposem Sienkiewicza, lecz nosiło w sercu niezatarty obraz tragicznego bojownika o wolność, męczonego w twierdzy szlisselburskiej. Gdy w roku 1908 ukazał się „Łukasziński” Askenazego, rozwijający się wówczas tajny skauting polski postać Walerjana podniósł do godności swego duchowego przewodnika; co trzecia niemal drużyna harcerska pod jego imieniem powstawała. Było to echo wielkiego wpływu, jaki na umysł przedwojenne warły magiczny obraz przeszłości, odtworzony przez historyka — stylistę. Bo, jak się rzekło, Szymon Askenazy nie jest tylko historykiem, jest on również utalentowanym pisarzem — to też słusznie się stało, iż tegoroczna nagroda literacka m. Warszawy przyznana została wielkiemu historykowi.

Myliliby się jednak, koby sądził, że Szymon Askenazy jest jedynie genialnym odtwórcą przeszłości. Badając dzieje, nie zapomina on o terażniejszości, dla której znajduje analogie w przeszłości; patrzy w przyszłość, oparty o zasób wiedzy historycznej, bo, chociaż historia się dlań nie powtarza, to jednak „z pokrewnych przesileni i zagadnień pokrewne płyną wskazania” („Napoleon a Polska”). Ta pamięć o terażniejszości i zapatrzenie się w przyszłość sprawia, iż większość dzieł historycznych Askenazego (pomijając już takie prace historyczno-literackie jak „La Pologne et l'Europe”, „La Pologne et la paix”, pisane dla cudzoziemców w okresie wojny światowej), dzięki analogji historycznej posiada cechy aktualności. Tak aktualny był wydany w czasie wojny „Napoleon a Polska”, takim był przedewszystkiem „Gdańsk a Polska”, tak aktualnym a groźnym memento były w swoim czasie „Wczasy historyczne”, czy „Dwa stulecia”. Prace te publikował nietylko historyk-literat, lecz przedewszystkiem historyk-obywatel, któremu, jak sam twierdzi, „na samym uczuciu polegać i poprzestawać nie wolno, gdyż wymaga ono sprawdzenia przez trzeźwy rachunek”.

Ten „trzeźwy rachunek” i niecofanie się przed przykrą rzeczywistością nie zabiły w Askenazym wiary w przyszłość. On, według którego „rozszarpanie Rzeczypospolitej... było wielkim aktem negacji Europy jako cało-

ści”, wierzył, oparty o doświadczenie historyczne, że ten akt negacji musi być przekreślony, — gdyż tak mu dyktowało nietylko uczucie, lecz i „trzeźwy rachunek”. Taka sama wiara, oparta na doświadczeniu dziejowym, każe ufać Askenazemu w pomyślność rozwiązania szeregu zagadnień wciąż jeszcze aktualnych, a zagadnienia polskiego stanowiska nad Bałtykiem w szczególności. To też, pisząc o dziejowym stosunku Gdańska do Polski nie zawaha się twierdzić, że poprawy stosunków polsko-gdańskich „prędzej czy później, pokojowo, stopniowo a niechybnie dokona zobopólny przyrodzony interes polsko-gdański, dokona zobopólna dobra wola, zdrowy rozsądek, dokona życie”.

Askenazy a polityk poznał przeszłość, a przez nią nauczył się rozumieć terażniejszość i patrzeć w przyszłość; Askenazy a literat swym dociekaniem naukowym nadał kształt, którym oczarować potrafił czytelnika i wryć głęboko w jego pamięć odtwarzaną przez się wizję przeszłości.

Władysław Tomkiewicz.

SZNUR PEREL

Wiadomość, iż Karol Z., syn znanego finansisty, zenił się z nikomu bliżej nieznaną panną Zofją M., zelektryzowała wytworne sfery stolicy. Wszędzie gdzie była złota młodzież żywo komentowano „nierozważny” krok p. Karola. „Zenił się z biedną panną, to mniejsza, — mówiono — lecz co za afront dla hrabianki Teresy B., z którą już oddawna był zaręczony! No i dlaczego pogardził milionowym posagiem? — a jej klejnoty! Jeden sznur pereł wart był pół miliona”.

Dopiero baron Z. potrafił dać odpowiedź na to pytanie: „Przedewszystkiem p. Zofja jest o wiele przystojniejsza od hrabianki, a przytem posiada prawdziwie czarujący uśmiech, w którym ukazuje prześliczne białe zębki. Nic dziwnego, że Karol, który jest wielkim estetą, wołał sznur pereł w ustach panny Zofji, niż perły na szyi hrabianki, odznaczającej się brzydkim użębieniem. Zapytana p. Zofja wyjaśniła mi bez żenady, iż swe „perełki” pielęgnuje rano i wieczór znaną pastą „Dentosan” marki Antiba, która znakomicie czyści i wybiela zęby. Dla odświeżenia jamy ustnej stosuje parę kropeł eliksiru „Dentosan” na szklankę wody. Natychmiast zakupiłem dwa tuziny pasty „Dentosan” i 10 flakonów eliksiru i rozpocząłem racjonalne pielęgnowanie jamy ustnej środkami „Dentosan” marki Antiba.

KAZIMIERZ
ZAKRZEWSKI

UCZYMY SIĘ REWOLUCJI

Rewolucje są w modzie. Wielkie i małe narody uciekają się do nich, jak do zbawienia, jedyne wobec rosnących zewsząd trudności. Środowiska zachowawcze objął proces „rewolucjonizowania”. Stare rewolucyjne środowiska społeczne stały się zachowawcze wobec rewolucjonizmu młodych pokoleń. Już drugi rok największy naród środkowo-europejski, bo naród niemiecki robi sobie rewolucję — oczywiście „naziomalszalistische Revolution”. Możemy ją nazwać „faszystowską”. Ale bez względu na lekceważenie lub wzgardę, którą chciałoby się włożyć w to określenie, trzeba przyznać, że jest rewolucja tak samo dobra, jak każda inna.

Imponujące dotąd zjawisko „wielkiej” Rewolucji (przez duże R) francuskiej przestało zatem być zjawiskiem izolowanym. Mamy coraz liczniejsze paralele. Inna rzecz, że rewolucje XX wieku nie chcą nawiązywać do swej najznakomitszej poprzedniczki. Faszystowskie, czy marksowskie — utrzymują, że celem ich jest zlikwidowanie porządku, ustanowionego przez rewolucję francuską. Ten punkt widzenia może być do pewnego stopnia uzasadniony, ale właśnie — tylko do pewnego stopnia. W rewolucji francuskiej wyładowały się siły wielorakie, które nader trudno byłoby wtłoczyć na wspólny mianownik. Dlatego niełatwo byłoby określić ją przymiotnikowo. Rewolucja bogatego mieszczaństwa, czy rewolucja ludowa, społeczna z rewolucją dążącą do ustanowienia nowego autorytetu, czy liberalna, wolnościowa? Na to pytanie nie można tak po prostu odpowiedzieć. Toć nawet nie zdołano dotąd określić stosunku rewolucji do religii. Oficjalną prawdą XIX w. była teza, że — zgodnie z przeważającymi w XVIII w. ideami — to była rewolucja laiczna, niosąca na swych sztandarach wolność sumienia. A tymczasem wielki historyk, Albert Mathiez, robespierzysta, jak sam się mianował, a prztem przedstawiciel szkoły materialistyczno-dziejowej, jak stwierdza prof. Adam Szelański, wystąpił ze stwierdzeniem, że „Rewolucja miała także swój program religijny, że... chciała stworzyć własny kult, własną religię...; że nie tylko chciała, ale że jej się to nawet poniekąd udało i że temu dziełu przeszkodził ci sami, którzy Rewolucji grób wykopali”. A zatem trzeba stwierdzić tragiczny rozdźwięk między ludźmi rewolucji, a ich spadkobiercami: „cele ich i zasady zamiast się zbiegnąć po stu latach, raczej wymięły się”.

Lecz weszliśmy już głęboko w dzieło, któremu poświęcam ten artykuł. A zatem chodzi tu o siedemset stronic „Rewolucji francuskiej” prof. Adama Szelańskiego, stanowiących pierwszy tom trzytomowego dzieła, wydany we Lwowie, nakładem „Folomaty”, t. j. przez prof. Ganszyńca, ogromnie czynnego i nieustraszonego wydawcę książek historycznych i filologicznych. Historyczna praca prof. Szelańskiego jest tak aktualna przez swój temat, że stanowczo można jej lekaturę polecić każdemu, kto chce uczyć się rewolucji. Bo, rewolucja, wielki dramat współczesnej ludzkości, przeżywającej jedno z najniebezpieczniejszych przesileń, jest już zjawiskiem, mającym swe miejsce w historii. Kto przeczyta niezmiernie interesującą książkę prof. Szelańskiego, ten przyznać musi, że, jak stwierdza autor, „rewolucja r. 1789 jest ciągle żywa, że żyje wciąż jeszcze w nas”, jako niezakończony proces dziejowy, a zatem żyje wciąż jeszcze w nowych rewolucjach, jakich widownią jest po wojnie światowej Europa.

Istota tego procesu wymyka się zresztą wszelkim naukowym określeniom. Nawet jego geneza jest zagadkowa. Prof. Szelański, rzucając pytanie „kto wywołał rewolucję?”, odpowiada na nie ze skromnością, właściwą ludziom wielkiej wiedzy: „nie wiemy”. Ale jego dzieło wskazuje na niezmiernie cenny już dorobek badań historycznych w podejściu do tego zagadnienia. Konflikt dynastyczny w łonie rodu Bourbonów, a mianowicie opozycja księcia d'Orleans do dworu Ludwika XVI i Marie Antoinette, podziemna akcja masonerii (wprawdzie należeli do niej przywódcy, ale to oni właśnie robili rewolucję, jako krytycy i burzyciele ideowi dawnego porządku), ruch klasowy właścicielstwa, który przejawiał się pod posta-

cią „wielkiego strachu” („l'année de la grande peur”) i pod tą nazwą przetrwał w pamięci potomnych, wreszcie całkiem „średnio-wieczny” odruch ludności Paryża przeciwko Bastylji — oto poszczególne składniki syntety, która może nie jest jeszcze kompletną, ale coraz łatwiejszą do uzupełnienia. Dawniej uważano, że rewolucja była wymierzona przeciwko absolutyzmowi, przeciwko monarchii Ludwika XIV. Ale ta właśnie Francja, która w końcu XVIII-go wieku robiła rewolucję, była sama dziełem absolutyzmu monarchii wersalskiej, a w konsekwencji przyniosła nowy absolutyzm, dyktaturę wojskową. Absolutyzm dogadzał Francji. Tylko nieudolny absolutyzm spowodował przeniesienie władzy na Zgromadzenie Narodowe, a więc nadanie Francji postaci państwa o rządach parlamentarnych. Ale ustrój parlamentarny w rozwoju rewolucji stanowił tylko fazę. Okres Zgromadzenia Narodowego, była to jedynie „kierownicza” w dziejach rewolucji francuskiej.

W tym okresie o losach narodu decydowała przede wszystkim „privilegiów” i oni nadają zabarwienie rozwijającej się rewolucji. Bo weźmy sam skład Zgromadzenia Narodowego. Stan trzeci, właściwy heros rewolucji jest w nim reprezentowany tylko przez równą połowę ogólnej liczby deputowanych. Wprawdzie przyłączyło się do niego grono proboszczów wiejskich (co właśnie zdecydowało o możności przekształcenia Stanów Generalnych, zwołanych przez króla, w suwerenną konstytuante). Lecz owi abbés nie byli by mogli odegrać roli języczka u wagi, gdyby dwa stany miały w sobie silną i niezłomną wolę przeciwstawienia się trzeciemu. A zresztą i na ławach stanu trzeciego zasiadali „privilegiów” w charakterze wybrańców ludu; wszak jeden z nich, markiz de Mirabeau był wodzem Zgromadzenia. A czyż plutokracja, zaliczająca się do stanu trzeciego nie stała społecznie powielekroć bliżej Wersalu, jak... przedmieście paryskie? W każdym razie była tworem merkantylizmu królewskiego, wyrosła pod skrzydłami monarchii Ludwika XIV. Nawet i dzisiaj kokietuje... „Action Francaise”.

Dziwny to parlament, owo Zgromadzenie Narodowe, składające się z dwunastu setek deputowanych, przedstawiające w idealnym komplecie współczesną śmietankę towarzyską arystokracji, duchowieństwa i burżuazji, elitę umysłową współczesnej Francji, gdzie przyszły „dyktator”, Robespierre zasiadał na szarym końcu, za młodym przez pierwsze nazwiska królestwa, Montmorency'ch, Liancourt'ów, Noailles'ów, Costellane'ów, biskupów, jak Talleyrand, szermierzy wolności, jak Lafayette. Ci privilegii dobrowolnie burzyli stary ład, oni to układali takie prawa, jak dekret znoszący feudalizm, prawa człowieka i obywatela, reformę kościelną, wreszcie konstytucję. Owe ostatnie dzieło konstytuante prof. Szelański porównuje do piramidy, której wierzchołek, — rząd, znajdował się na samym dole, obciążony od góry przez wszystkie inne organy i uważa polską konstytucję marcową za młodszą siostrzycę francuskiej z września 1791 r.

Dzieło Zgromadzenia Narodowego nie mogło być trwałe i to jego fiasco wyprzedza liczne podobne zdarzenia w dziejach demokracji europejskiej. Jest to fiasco konstytuante rosyjskiej, konstytuante niemieckiej z Weimaru, sejm „ustawodawczy” w odrodzonej Polsce. Dalszy ciąg rewolucji

musiał nastąpić zdaniem prof. Szelańskiego spowodu konfliktu wojennego, gdyż ustrój państwowy, jakim obdarzył Francję sejm filozofów, nie był zdolny do odparcia najazdu zewnętrznego. Uznając w pełni wagę najazdu w rozwoju „rewolucji narodowej” we Francji, wyrażamy pewność, że dzieło konstytuante musiałyby upaść także i bez interwencji dworów europejskich w obronie ancien regime'u. Tembardziej zato zgodzimy się z prof. Szelańskim, kiedy podnosi stałe zjawisko niedostateczności środków parlamentarnych do opanowania nagłych niebezpieczeństw i zawiłkła, wypływających z samej istoty ciał przedstawicielskich. Ciała te zawsze muszą wyrzec się praw, kiedy zasada parlamentaryzmu wchodzi w rozdźwięk z zasadą ocalenia ludu, czy narodu.

Parlamentarzyści francuscy stracili panowanie nad sytuacją niemal zaraz po wejściu w życie konstytucji. Wszystko, co stworzyli, pozostało świstkiem papieru, nawet konstytucja 1793 r., twór najbardziej rewolucyjnego parlamentu — konwencji. Natomiast wyłonił się z rewolucji naród francuski, dzieło władz rewolucyjnych, powstałych w dobie najazdu i nie będących emanacją parlamentu, ale narzuconych mu przez rewolucjonizowaną masę ludową. Oczywiście nie można przeceniać roli dziejowej mas; są one tylko narzędziem, kierowanym przez indywidualności, przez wodzów i proroków. Dlatego znalazły się w dobie rewolucyjnej najpierw pod przewodem proroka rewolucji — Robespierre'a, a następnie wodza — Napoleona. Cóż może parlamentaryzm rewolucyjny przeciwstawić „dyktaturze” terroru Komitetu Ocalenia i Komuny, a następnie dyktaturze militarnej, napoleońskiej? To były prawdziwe przedstawicielstwa narodowe walczącej Francji, a zatem głównie w nich wyraziła się pierwsza demokracja europejska, jaka objawiła się w rewolucyjnej Francji.

Elita, jakiej wyraz stanowiło Zgromadzenie Narodowe, była anarchiczna. Jej anarchiczne wyznanie wiary w przyrodzoną wolność człowieka ujeli filozofowie z konstytuante w Deklaracji Praw Człowieka i dlatego nie bez słuszności historyk republikański, Aulard mógł sądzić, że do dzisiaj zasady Deklaracji nie zostały całkowicie urzeczywistnione. Ale masa domagała się nowych autorytetów i sama je sobie ustanawiała. Ta nieprzejednana opozycja między liberalizmem, uznającym we władzy tylko konieczne zło (jest liberalizm anarchizmem klas posiadających, które potrzebują władzy, jako „stróża nocnego”), a demokracją, z natury autorytarną i negującą wolność jednostki, wyłoniła się w dobie Rewolucji francuskiej w całej jaskrawości. Dzieło prof. Szelańskiego ilustruje naszą tezę niemal na każdej stronie.

Byłoby paradoksem uznawać w Rewolucji francuskiej ideową poprzedniczkę rewolucji XX w. — marksowskich i faszystowskich. Kto nie chce, niech w to nie wierzy. Ale kto chce w niej widzieć rewolucję liberalną, ten musi fałszować historię. Dlatego możemy przyjąć, że Rewolucja francuska nie została jeszcze w całej rozciągłości odkryta. Historycy dopiero ją odkrywają i do tych odkrywców, obok Mathieza należy i nasz prof. Szelański. „Cały późniejszy przebieg wypadków, zwłaszcza od chwili upadku Zryndy historjografja francuska przedstawiała... jako objaw rozkładu społeczeństwa i państwa” — pisze prof. Szelański.

gowski. Dopiero ostatnie dziesięciolecie przyniosło stopniową zmianę poglądów. Ale wykończenie procesu rewizyjnego należy do naszych czasów.

Dzisiaj wylania się ze starych szpargałów postać Robespierre'a, jako bohatera niezłomnej walki ze „sprzysiężeniem cudzoziemskim” i jego agenturami w łonie skorumpowanych środowisk politycznych w rewolucyjnej Francji, jako radykała, obalonego za to, że chciał dalej poprowadzić rewolucję socjalną, jako proroka religii rewolucyjnej, jako tego, który ustanowił „rewolucyjną dyktaturę autorytetu moralnego” (określenie prof. Szelańskiego). Ten Robespierre pozostał w pamięci Francji burżuazyjnej, liberalnej, jako „potwór” i nie doczekał się w niej pomnika. Nie przyznają się do niego i marksiści, chyba... tego pokroju, co Albert Mathiez. Ale nastaly czasy rewolucyjne, więc i Robespierre robi karierę. Jego cienie wywołuje dziś młoda Francja; Maximilien jest dziś znowu prorokiem.

Liberalizm rewolucyjny powoływał się na przykłady kariery, chciał wskrzesić demokrację antyczną. Dzisiaj znamy demokrację antyczną na tyle, aby zdemaskować go i na tym gruncie. Bohaterowie antyczni liberalizmu z Brutusem w punkcie centralnym, szermierze wolności przeciwstawianej tyranii, byli to bojownicy reakcji; Pizystrat i Cezar reprezentowali rewolucję ludową. Demokracja antyczna może być zestawiana z hitleryzmem, czy bolszewizmem, ale nigdy nie z liberalizmem XIX wieku. Temat ten wymaga zresztą osobnego rozwińnięcia. Wykazałoby ono, że tam, gdzie mamy do czynienia z demokracją, t. j. gdzie masy ludowe występują na widownię dziejową, tam musi zjawić się wódz, autorytet, silna konstrukcja państwa. Rewolucja francuska musiała więc pójść torem rewolucji greckiej i rzymskiej, a po tym samym torze idą dziś zrewolucjonizowane narody europejskie.

Jeszcze kilka uwag „pro domo sua”. W r. 1931 spowodu „sprawy Dantona” Przybyszewskiej miałem sposobność skruszenia kopii na niektórych recenzentach lwowskich, biorących w obronę Dantona przed agresją autorki, Leona Schillera, „teatru proletariackiego” i wogóle... sanacji. Podnosiłem wtedy, że „walka o Dantona, to walka z bestją w człowieku, z jej moralnością — cyniczną, na kłamstwie opartą, to spór o podstawy duchowe, na których opiera się mnóstwo następców Dantona, panujących nad masami i organizujących życie w stroju liberalnym”... („Słowo Polskie” z dn. 27 marca 1931, „Walka z Dantonem”). W odpowiedzi prof. Tarnowski, jeden z zaczepionych przeze mnie — jak ze skruczą wyznają — krytyków, nie chciał się dać przekonać i pokazał raz jeszcze czytelnikom „wyuzdanego, niezawsze uczciwego, ale genialnego i gorąco Francję kochającego Dantona” na cele rewolucji i obrony ojczyzny, na czele „Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego” („Kurjer Lwowski” z dn. 3 kwietnia 1931, „Danton i Robespierre”). Obiecał coprawda przeczytać na wakacjach... Mathieza.

Nie wiem, czy prof. Tarnowski dotrzymał obietnicy. Chciałbym jednak, aby znał sylwetkę Dantona, jaka wychodzi spod pióra prof. Szelańskiego. Ten nawskroś nieprawy przedstawiciel demokracji liberalnej występuje tu bez obłonek w całej jaskrawości. Postać z afery Stawisky'ego! Bo Danton wciąż jeszcze rządzi we Francji. Ale już przeciwko niemu rozbrzmiewa na ulicach Paryża „Carmagnola” z werselem poświęconym deputowanemu. W Polsce natomiast Danton wypędził bezpowrotnie maj 1926 r. Prof. Szelański daje świadectwo i tej prawdzie.

WŁADYSŁAW SEBYŁA

AKTEON

O, bezwstydną madonno, biała panno
z gór,
widuję cię co noc, idącą do kąpielni,
kiedy księżyc, ptak nocny, wychynie
z za chmur
nad tafel wodnej topieli.

Idziesz cicho, jak światło, i zapadasz
w prąd
z pluskiem, co granie fletni
przypomina,
i płyniesz, rozgarniając sennym
ruchem rąk
ciekły blask, szumiący w wiklinach.

Przytrzymanym na smyczy zmiłknąć
każę psom,
aż na moim wynurzysz się brzegu
i uniesiesz ramiona przesłonięte mgłą,
wodne kwiaty bielsze od śniegu.

O, bezwstydną madonno, Diano,
panno z gór,
wiecznej młodości katedro!
Spójrz! Niechaj jeleniem poskaczę
przez bór!
Niech własne psy mnie rozedrą!

Nakładem „Drogi” ukazało się drugie wydanie książki

ADAMA SKWARCZYŃSKIEGO

„MYŚLI O NOWEJ POLSCE”

Cena zł. 4.—

(Dla Prenumeratorów „Drogi” zł. 2.50)

Książka jest do nabycia w Administracji „Drogi” (Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 0.518) i w księgarniach stołecznych i prowincjonalnych.

NOWE POEZJE

Wojciech Bąk. **Brzemie niebieskie.** Warszawa 1934. Wydawnictwo J. Mortkowi-
cza.

Tom wierszy Wojciecha Bąka „Brzemie niebieskie” jest rezultatem erupcji sił twórczych o wyjątkowym w naszym stosunkach poetyckich nasileniu. Wiersze „biorą” z mięsa. Wprowadzają nas w sugestywną atmosferę bezpośredniego, intuicyjnego wylewu lirycznego. Autor tak jest naładowany liryzmem, że czuje się jak wiersze jego wibrują pod naporem niewyzyskanych świadomości możliwości. Treści liryczno-poetyckie znalazły tu dla siebie formę wyrazu, dyktowaną nie przez teoretyczne programy szkółek poetyckich, lecz jedyną możliwą w tym stanie napięcia sił twórczych i nasycenia poezją współczesną. Toteż nie może się wydać dziwnym, że forma ekspresji wierszy Bąka przynosi na myśl co wybitniejszych i oryginalniejszych poetów współczesnych. Siłę i wiarę Kasprzowicza, szarpaninę wewnętrzną i uciążliwość słowną Tuwima, patos Wierzyńskiego, metafizyczny werbalizm Leśmiana — te elementy poprzedników odnajdziemy w twórczości Bąka, stopione w organiczną całość własnego, koniecznego dla danej treści poetyckiej wyrazu. Nie mówię tego w formie zarzutu, stwierdzam tylko fakt, łatwo dający się zauważyć i odczuć przy czytaniu wierszy. Nacisk wewnętrzny możliwości twórczych nie dawał autorowi czasu na szukanie nowych, niepewnych dróg wyrazu, nie pozwalał się hamować, wybierał ścieżki, które czasem znane i utarte, lecz zawsze właściwe, dopasowane do nastroju i nasilenia uczuciowego.

Już w tytule poeta podkreślił zakres zagadnień, które go pasjonują: „Brzemie niebieskie”. Szukanie Boga, czyhanie na Boga — w takim skrócie można by zawrzeć problematykę tych wierszy.

„Jak wyżej tropię Twoje ślady;
Wiem, że przed chwilą tutaj byłeś,
Bo jeszcze teraz tańczą trawy,
Które dotknięciem stóp upileś. (str. 76)

Odczuwanie świata opiera się u Bąka na głębokich pokładach wiary i wrodzonej religijności, nie modlitewnikowej, lecz tej, która jest naturalną potrzebą każdego człowieka. Problematyka jego wierszy wynika z ustawicznego poszukiwania, z odkrywania metafizycznej podszewki świata rzeczy i zmysłów, z poczucia obecności zaświata w dziedzinie dźwięków, barw i woni, z ustawicznego uderzania myśli ludzkiej o pustkę poza przedmiotową.

„Tam nie zadzwieczy taktem radnym
Dziób kującego sosną dzięciola —
Zaświat bezkształtem, bezgłosem rośnie
I morzem pustki płynie dokola”. (str. 8).

Ta nuta dominuje w twórczości Bąka. I właśnie pierwiastki religijności, stosunek do wiary, męczące zagadnienie śmierci, zarówno jak gatunek ekspresji stawiają go obok poetów o podobnym obliczu — obok Jerzego Lieberta. Tylko postawa Lieberta miała w sobie dużą dozę rezygnacji i zgody na los, podczas gdy Bąka cechuje żądza życia, sprzeciw i bunt przeciwko śmierci, jak i przeciw normom religijnym krępującym rozrost sił witalnych. Pojaztem wyraz Lieberta miał więcej klarowności i czystości.

Wraz z głębokim odczuwaniem metafizycznej grozy istnienia występuje u Bąka duża chłonność odczuwania zmysłowego. Wiersze jego nie mają w sobie nic z abstrakcyjnych rozmyślań. Wręcz przeciwnie, naładowane są mniższym konkretem, jasnych, jednych obrazów. Mowa, której używa poeta jest prawdziwą mową poetycką. Wszystko jest w niej obrazem i każdą myśl, czy uczucie potrafi poeta w obraz zamknąć. Przykładowo nie trzeba szukać — dość otworzyć tom. Te właśnie cechy — głęboki podkład uczuciowy, intuicyjność skojarzeń, przetwarzanie wszelkiej myśli w obraz, bezpośredniość odczuwania i organiczne spójenie formy z treścią uczuciową — stawiają Bąka w rzędzie najwybitniejszych poetów młodego pokolenia.

Włodzimierz Słobodnik. **Pamięci matki.** Warszawa 1934. Skład główny Gebethner i Wolff.

Piąty zbiór wierszy Włodzimierza Słobodnika zawiera kilkanaście utworów o jasnej, przejrzystej budowie, przepojonych prostym liryzmem, śpiewnych i płynnych. Na tle współczesnej produkcji poetyckiej, którą cechuje niepokój poszukiwań i eksperymentów, wiersze Słobodnika, wywodzące się z liryki rosyjskiej, proste (nie prostaczkowe), nieskomplikowane, nieprzerafinowane, pozbawione tendencji, lecz czyste w linii i intencjach lirycznych mogą wydać się odrobinę anachroniczne. Zarzucano kiedyś Słobodnikowi epigonizm Skamandra. Jest to zasadniczo nieporozumienie. Jeżeliby można mówić o epigonizmie u tego poety, to raczej o epigonizmie liryki rosyjskiej. Nawet w tym małym tomiku spotykamy wiersze, których rytmika i nastrój łatwo dadzą się odnieść do utworów poetów rosyjskich, lecz w żadnym wypadku nie do Skamandrytów. Tak naprz. „Serce jesienne” i w rytmie

ce i w nastroju wywodzi się z jednego z wierszy A. Błoka, w innych znajdziemy echa Lermontowa, Puszkina. Oczywiście, kto by szukał u Słobodnika nowatorstwa, szczególnie wersyfikacyjnego, zawiódłby się srodze. Klarowność składni, przejrzystość obrazowania, swoisty ton uczuciowy melancholijny i pełen zamyślenia dodają jego wierszom raczej smaku klasycyzmu. Z pośród wierszy, zawartych w tomiku, wyróżniają się początkowe (Bez Ciebie, Wiersz, Serce jesienne i inne). Wiersz „Początek Polska”, banalny w koncepcji, nie powinien być znaleźć się w tym zbiorze, mającym naogół równy poziom.

Stanisław Wygodzki. **Chleb powszedni.** Kraków 1934.

Tomik, którym debiutuje Stanisław Wygodzki, nie świadczy o silnym impulsie twórczym. Liryzm utworów w nim zawartych ma w sobie coś wymuszonego i to nie skutkiem dość wyraźnej zresztą tendencji, która spełnia tu rolę raczej ratowniczą, chroniącą wiersze Wygodzkiego od bezbarwności. Przyczyna tej wymuszonej leży w niesamodzielności, w suchym i zimnym werbalizmie, umiędnie zamaskowanym kulturą literacką autora. Nad wierszami Wygodzkiego i w koncepcjach i w wersyfikacji ciąży wpływ, przedewszystkiem Broniewskiego (uderzające są analogie „Pancernika Patiomkina” do „Komuny Pańskiej”), nie mówiąc o innych poetach, którym kiedyś przyklejano etykietę „proletariackości”. Bezbarwność i brak jednolitości w zmysłowej wizji rzeczywistości, ubóstwo fantazjotwórczych skojarzeń, prowadzą autora do werbalistycznych skupień słów, czasem rozlatujących się i logicznie i w sensie obrazu, jak naprz.

„Zapewne nie wiedzieli o sobie
dłonie splecione — związane drutem
kiedy podane zwłokom w grobie
piszczel przenika brzegi nad Prutem”.
(Ręce, str. 7).

Mimo osiągnięcia niewątpliwego poziomu kultury w ekspresji i w wersyfikacji, Wygodzki nie przekroczył granic poprawności poetyckiej.

Edward Szymański. **Do mieszkańców Marsa.** Warszawa 1934.

Wiersze Edwarda Szymańskiego, choć tendencyjne, są wyrazem szczerzego i naturalnego odruchu protestu i buntu. Można mieć zastrzeżenia co do wartości estetycznej tak jaskrawych, dziennikarsko-polemicznych sposobów ekspresji, lecz trudno odmówić poecie rozmachu i śmiałości. Nasuwałoby się tutaj zagadnienie rodzaju literackiego: czy ten gatunek poezji można rozpatrywać z punktu widzenia najwyższego celu każdej twórczości — stworzenia dzieła sztuki? Jeżeli abstrahujemy od tendencji, ukazujących t. zw. zgniłość, rozpad świata burżuazyjnego i krzywdy ustroju kapitalistycznego, dają się stwierdzić uzdolenia wersyfikacyjne poety, łatwość rymowania, umiejętność obrazowania ostrego i kontrastowego, niewybrednego zresztą nieraz w dążeniu do efektu. Budowa rytmiczno-stroicowa, choć wiersze graficznie nieraz rozbite są na wzór Majakowskiego, ogranicza się do strofy czterowierszowej, czasem lekko zdeformowanej lub rozciągniętej w pięciowiersz, rymowanej ab ab. A więc strona formalna sztuki Szymańskiego nie jest rewelacją. Strona tematyczna zamyka się w granicach reportażowo-polemicznych obrazów, o mocnym zacięciu satyrycznym, popartych argumentacją, nie przekraczającą poziomu agitacyjnej ulotki. Jest to programowa, oklepana publicystyka polityczna w formie wierszowanej. I jeśli chodzi o cele agitacyjne, wiersze Szymańskiego mogą spełnić swą rolę z pełnym powodzeniem, zapewne lepiej niż artykuł. Ale dzięki ładunkowi głębokiego przekonania, przejścia się sprawą, dzięki zestrojeniu środków ekspresji z celami tej twórczości, można ją zaklasyfikować jako nieposłedniej wartości poezję utylitarzną. Trudno jednak przewidzieć na podstawie tych wierszy, jakby się przedstawiała i jakie wartości wniosłaby twórczość Szymańskiego, gdyby wychodziła z założeń bardziej artystycznych, czystszej sztuki mających na celu.

Wł. Sebyla.

**BEZDROŻA
ZAKŁAMANEJ
DJALEKTYKI**

W naszym życiu kulturalnym zdarzają się często fakty, wobec których normalny rozsądek staje zupełnie bezradnie: zdawałoby się, że ten, czy inny „zbieg okoliczności” jest zupełnie niemożliwy, że chcąc go wyjaśnić trzeba by uciekać się do najbardziej ryzykownych interpretacji, choć nawet te ryzykowne interpretacje w gruncie rzeczy nie są wystarczające dla zrozumienia sprawy.

Taką sprawą niezrozumiałą jest stosunek „Wiadomości Literackich” do wypadków w życiu teatru, które w ostatnim roku rozegrały się na terenie stolicy. Przywitawszy powstanie Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce ze dużą życzliwością i upatrując w jego akcji pomoc dla zasłużonego Teatru Polskiego, „Wiadomości Literackie” oceniały nawet zapowiedzi repertuarowe dyrekcji Towarzystwa bardzo pozytywnie; wkrótce jednak nie tylko piórem swego recenzenta poczęły niezmiernie surowo oceniać artystyczną działalność tych teatrów, ale nadały tej ocenie ten specjalny charakter, który nazywa się w prasie kampanją, a który polega na tendencyjnym sumowaniu rzeczy nieudanych i eliminowaniu z ogólnego bilansu pozycji dodatnich, przy każdej sposobności, po kilka razy nawet w jednym numerze, starając się działalność tych teatrów poniżyć, a ich kierowników pognać.

Jako motyw, który się przewijał przez wszystkie ataki, podawano kompleks pojęć niezupełnie skoordynowanych, lecz wyrażających się w progresji myślowej: teatry upaństwowione, nacisk czynników politycznych na działalność artystyczną, dobieganie repertuaru pod kątem pewnego narzuconego schematu. Na czym ta „niewola teatralna” miałaby bliżej polegać, nie wyjaśniano, z dużą lubością powtarzając wszystkie chwytane po gazetach i kawiarniach fałszywe i kłamstwa, i nie usiłując bynajmniej zbadać sprawy bezstronnie. Doszło wreszcie do tego, że recenzent „Wiadomości”, pisząc o „Zbrodni i karze” Dostojewskiego jako o dobrej przedstawieniu stwierdził, że Teatr Polski w bieżącym sezonie po raz pierwszy w tej sztuce wylał się z narzuconej sobie ideologii i zaraz odniósł sukces artystyczny. I znów: na czym polega ta „ideologia”, w czym „ideologia” ta doznała uszczerbku w „Zbrodni i karze”, w jaki sposób „ideologia” ta objawiała się w „Miarce za miarkę”, „Kościuszcze pod Raclawicami”, „Aszantce”, „Kupcu Weneckim”, żeby już nie analizować repertuaru Teatru Małego — to pozostało tajemnicą recenzenta. Gdyby choć recenzent wyraźnie ograniczył się do dwu utworów — „Sprawy Dantona” i „Nad przepaścią” i dopatrzył się w nich apoteozowania silnej władzy i politycznej roli wybitnej jednostki, mógłby ostatecznie coś nie coś na ten temat napisać. Ale tego było mu oczywiście zamalo — wolał jednym pociągnięciem pióra wypowiedzieć nieodpowiedzialne uogólnienie.

Sezon ma się ku końcowi, T. K. K. T. zmierza ku nowej fazie swej rozwijającej się ciągle działalności, obejmuje nowe placówki, nikt już dziś nie wierzy w te „ukryte” cele Towarzystwa, o których „Wiadomości Literackie” tyle ciekawych rzeczy dowiedziały się z „A. B. C.”, trzeba więc jakoś zakończyć niefortunną kampanję, co najlepiej uczynić można — otrąbiając fikcyjne zwycięstwo. Takim żalonym zamknięciem żalosej i antykulturalnej kampanji przeciwko poczynaniom o dużym i przyszościowemu znaczeniu, jest podpis pod fotografią dyrektora teatrów prowadzonych przez T. K. K. T. — p. dra Arnolda Szyfmana. Zamknięto w tym podpisie rezultat całosezonowej djalektyki, w sposób zaiste beztroski: ciesząc się, że dotychczasowy dyrektor pozostał nadal dyrektorem, pisze sprytny redaktor ostatniej kolumny „Wiadomości”: „Objęcie przez dyr. Arnolda Szyfmana kierownictwa pięciu teatrów stolicy uważać należy za ostateczne zaniechanie niefortunnnych prób ingerencji państwa w artystyczne sprawy teatru.” W czemże to autor tych słów upatruje „ingerencję państwa w artystyczne sprawy teatru”? Jeżeli w fakcie powstania Towarzystwa, to istnieje ono nadal i rozszerza swą działalność. Jeżeli w penetracji zarządu i kontroli państwowej w działalności tych teatrów, to informacje pisma, powtarzane z taką pewnością, dalekie są od prawdy. Nic się w tej dziedzinie nie zmieniło i nie zmieni. Kto zresztą powiedział autorowi tych słów, że penetracja taka istniała? Orzechy o tem mogła tylko dyrekcja teatrów, a zwłaszcza ten dyrektor, którego „Wiadomości” uznają — czy jednak „Wiadomości” nie opierają się tu znowu na jakichś urojeniach?

Skończył się zdanie niezmiernie niejasne i nadające się doskonale, by je w następnym numerze strawestowano w kronice tygodniowej. Mówi się tam coś mętnie o „poddaniu repertuaru możliwościom realizacyjnym” z czego można by wywnioskować, że ingerencja państwa polegała na zmuszaniu teatru do grania wbrew woli dyrekcji sztuk, na które nie miano obsady. Może to jest właśnie ta „ideologia”? Grywanie sztuk, na które nie ma obsady?

W zakończeniu tego zdania zostało stwier-

**N°1
AROMATYCZNA
DESEROWA
CZEKOLADA**
Fuchs
**REKLAMOWY GATUNEK
REKLAMOWA CENA**

zione, że nowy sezon teatrów T. K. K. T. wobec objęcia dyrekcji pięciu teatrów przez dr. Ar. Szyfmana będzie lepszy od „amatorskiej i naiwnej polityki poprzednich gospodarzy”. Ponieważ „poprzedni gospodarze” i nowi gospodarze są identycznie tymi samymi osobami, zaś p. dyr. Szyfman w takiej samej mierze nadal jak dotąd będzie miał decydujący wpływ na artystyczną pracę w teatrach Towarzystwa, przeto otrąbienie zwycięstwa przez „Wiadomości Literackie” przypomina nieco znany teatralny truc z maszerującymi żołnierzami: z lewej strony wchodzi na scenę ci sami piechurzy, którzy z prawej przed chwilą zeszedli ze sceny. Tyłko że „Wiadomościom” za pierwszym razem się nie podobali, za drugim, choć ci sami, są oklaskiwani.

Tak to wygląda kulturalna działalność „Wiadomości Literackich” tam, gdzie już nie o słowa chodzi, ale o fakty dużej doniosłości. Art.

LUDWIG I MUSSOLINI

Książka*) ta mogłaby równie dobrze nazywać się „Benito Mussolini, rozmowy z Emilem Ludwigem”, pisało ją bowiem dwóch autorów, pisarz i polityk; pisarz, pragnący dotrzeć zapomocą wywiadu do najintymniejszych głębin duszy dyktatora Italii i wódz, chcący tylko powiedzieć tyle ile mu pozwalało jego stanowisko, jego ożywny udział w formowaniu życia Italii i współczesnego świata.

Forma wywiadu, giętki instrument pracy dziennikarskiej, doprowadzony do stopnia wysokiej doskonałości w prasie zagranicznej, stała się dzięki rozległemu wykształceniu historyczno-filozoficznemu autora „Napoleona” niezastąpionym środkiem dla atakowania obecnej duszy, jej niezmierzonych granic, jej przemian i zdobyczy.

Adam Mickiewicz powiedział kiedyś o „prawdziwej rozmowie”, że jest czemś pięknym i wartościowym. Niema mowy oczywiście o prawdziwej rozmowie między ludźmi, którzy jak Mussolini i Ludwig, w ciągu tygodnia, codziennie przez godzinę poruszali wszystkie prawie ważniejsze zagadnienia życia człowieka, bojownika, działacza, twórcy idei, socjalisty i nacjonalisty, żołnierza, dziennikarza i dyktatora.

Mussolini, sam ongi dziennikarz, najświetniejsze pióro dziennikarskie w Italii, znał wszystkie sztuczki i czary wywiadowcy, zmierzające do wydobycia z człowieka, najszerszych wyznań i oświadczeń. Wywiadowca, prokurator i prowokator jednocześnie, obrońca i zamachowiec, apologeta i krytyk, natknął się na opowanie dyplomaty Włocha. Toteż rozmowy z Mussolinim nie są owoimi prawdziwymi rozmowami, w których demaskuje się wnętrze człowieka, są to raczej kunsztowne stylizacje, posiadające jednak w sumie wartość dokumentu.

Bowiem Mussolini nie usiłuje przeinaczyć swej drogi życiowej w relacji dzisiejszej, nie wstydzi się ani swej biedy, ani szkody, ani pracy murarskiej, ani przemiany z socjalisty, redaktora „Lotta di classe” na przywódcę faszystów, organizatora państwa korporacyjnego.

Zwięźle oceny i charakterystyki ludzi i zjawisk, przenikliwa analiza psychologiczna pojęć społeczno-politycznych, sprawy stosunku masy do Wodza, stosunku faszystów do Europy i t. d. są poza indywidualne cennymi definicjami swych własnych poglądów, poważnym wkładem dla scharakteryzowania psychiki przywódców mas, ludzi budujących nowe epoki w dziejach.

Dlatego książka napisana wspólnie przez Mussoliniego, autora „Stu dni” i Ludwiga, autora „Napoleona” jest przyczynkiem historyczno-psychologicznym o spornym ciężarze gatunkowym. „Rozmowy z Mussolinim” winny zapoczątkować serię takich „płyt” utrwałych przemijających i potem nieuchwytnych już słów, poglądów i stanowisk, wielkich ludzi dzisiejszej epoki.

Z tych dokumentów będzie przyszedł historyk odtwarzać wnętrza wielkich ludzi przeszłości, mając obok czynów niemniej ważne słowa i wyznania dla zestawień i konkluzji. „Rozmowy z Mussolinim” wydał Rój w serii Dokumentów współczesności z całym pietyzmem. Przekład p. St. Łukomskiego i szata zewnętrzna książki łączą się w harmonijną całość.

*) Emil Ludwig, „Rozmowy z Mussolinim”. „Rój”. Przekład Stanisława Łukomskiego.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Hurtownia
dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc.
w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.
WYDAJE PISMO REKLAMOWE
DLA KSIĘGARZY P. T.
„KURJER KSIĘGARSKI”.

**MALARSTWO
PIOTRA
MICHAŁOWSKIEGO**

Na różne sposoby daje znać o sobie wielkość. W sztukach plastycznych przychodzi ona częstokroć do głosu w kilkadziesiąt lat po śmierci tego, który dojrzał świat wcześniej, niż inni i za karę dokonał smutnego żywota wśród swych rzekomo bezowocnych dążeń. Ale wskrzeszone nagle wielkości świata bywają zazwyczaj wymagające. Jakgdyby mszczyły się za długie chwile obojętności i niepamięci — żądają od nas, gdy czas ich przyjdzie — podwójnej glori. Malarstwo Michałowskiego atoli — miało wśród braci artystycznej oddawna mocną pozycję. Wśród t. zw. szerszego ogółu natomiast, sztuka tego artysty nie budziła głębszego zaufania, zwłaszcza w czasach, gdzie zwracano głównie uwagę nie na to, „jak”, ale „co” artysta maluje. W tej popularnej instancji estetycznej, szkic z natury Michałowskiego, jego studja portretowe i niezrealizowane projekty batalistyczne nie doczekały się należytego uznania i mogły interesować conajwyżej specjalistów.

Dzisiaj, kiedy odpływająca fala tych nawiwnych opinii odkrywa przed nami mocny grunt istotnych w sztuce wartości — przyszedłszy do przekonania, że to „rodzajowe malarstwo” Michałowskiego, jest w każdym razie wysokiego gatunku. Rzecz zaiste dziwna — zgadzają się na to wszyscy bez wyjątku — nawet ci — dla których wpływy francuskie na sztukę polską zawsze są drażniącą chustą czerwoną. A sztuka Michałowskiego jest właśnie manifestacją tych wpływów i na to nie ma żadnej rady. Demonstruje ona w sposób niezwykle precyzyjny, a przytem otwarty i szczerzy zasadnicze pierwiastki wielkiej kultury malarskiej Francji, przeszczepione na grunt naszej psychiki i naszego sposobu odczuwania świata. Ujawnia się w tem malarstwie przedewszystkiem pewien porządek skoordynowanej woli kształtowania — gdzie forma malarska znajduje swe uzasadnienie w przesłankach stylowych zdobywającej podówczas uznanie nowej rzeczywistości artystycznej.

Michałowski po przybyciu swem do Paryża w r. 1832 — znalazł się odrazu na froncie walki klasyków z romantykami. Szczególnie głębokie wrażenie wywarło na nim malarstwo prekursora ruchu romantycznego, T. Géricault'a. Michałowski śladem swego mistrza maluje zaprzęgi francuskie, a głównie konie — maluje akwarelą, rozwijając ogromne bogactwo techniki wodnej. Zadziwiająca jest u niego ekonomja malarskich środków — gdzie każda plama barwna znajduje się na właściwym miejscu, gdzie niema dotknięcia pędzla zbytecznego lub przypadkowego i gdzie wybredny smak i poczucie miary decyduje o ostatecznym układzie i proporcjach koloru. Dopiero po powrocie do kraju w r. 1835 wyzwała się Michałowski z przemożnych wpływów francuskiego mistrza. Następuje szereg szkiców olejnych, a w tem głośnie jego studja do Somosierry, gdzie artysta z ogromną intuicją improwizuje szal bitewny przewalającej się przez wąską gardziel wozu masy ludzi i koni. W olejnych portretach prezentuje Michałowski głęboką wiedzę malarską, a zwłaszcza wyborną koordynację formy z barwą i pierwiastku kolorowego światła z sytuacją przestrzenną malowidła. Jego plama barwna jest tłusta, masywna, ma swoją wagę i konsekwencję, a co najważniejsze — doskonale podnosi urok sąsiednich barw na obrazie. W pewnym momencie po powrocie z Wiednia, zachwyca się artysta Velasquez'em, następnie zaś Holendrami, których podziwia w Amsterdamie, w czasie podróży w roku 1846-ym. Wszystko to jednak nie zdołało zawrócić go z drogi własnych poszukiwań i stosunku jego do sztuki bynajmniej nie zmieniło. Ale te studja muzealne uszlachetniły jego malarstwo i wzmocniły wiarę w bezwzględną wartość własnych, malarskich przeżyć w związku z przyrodą, przy bezpretensjonalnym i szczerem podejściu do form naturalnych.

Michałowski był przedewszystkiem malarzem. — Marzył wprawdzie czasami o wielkich kompozycjach historycznych, które ówczesna społeczność uważała za najwznioślejszy objaw malarskiego „natchnienia” — ale wrodzony instynkt plastyczny brał w nim zawsze górę.

W tej prostocie i bezpośredniości plastycznego myślenia — ujawniła się wysoka rasa malarstwa Michałowskiego, którą szczerze podziwiamy na retrospektywnej wystawie dzieł tego artysty w I. P. S. I nie dziwimy się bynajmniej — że imię tego wielkiego malarza stało się dziś sztandarowym nazwiskiem młodego pokolenia.

Konrad Winkler.

LISTY DO REDAKCJI

„DAR Z ŁASKI”

Szanowny Panie Redaktorze!

Od czasu odrodzenia się Państwa Polskiego, wciąż słyszymy utyskiwania, że pokole nie obecnie działające, zostało zrodzone w czasach niewoli, a zatem nie może się jeszcze otrząsnąć z metod działania, stosowanego do rządów przemocy. Ukrywa więc swe dochody, by nie płacić podatków, tak, jak się od nich uchylało za caratu, kupuje przemycane towary, by nie płacić cla na korzyść własnego państwa, i ucieka się do łapówek, by przeprowadzić swe cele, demoralizując urzędników państwowych, a przez to robiąc podwójną szkodę własnemu krajowi.

Tak w czasach niewoli, jak i w obecnych są tacy i tacy obywatele. Tak, jak przed wojną był tylko pewien procent ludzi oddających całą duszą sprawie wyzwolenia Polski, tak i obecnie, tylko pewien procent na prawdę, czuje i rozumie, że trzeba robić wysiłki i czynić ofiary, by to wyzwolenie zapewnić na przyszłość i dać mu trwałe podstawy.

Nie przeczę, że większość sejmowa w

pierwszych latach wolnej Polski, przedstawiła większość dawnej Polski, której tylko pewien procent obywateli tajemnie walczył i pracował dla Jej wyzwolenia. Dlatego w Sejmie ten sam mały tylko procent posłów działał i przemawiał prawdziwie po obywatelsku, ale bywał zwykle przekrzywany przez egoistyczną większość i musiał się jej poddawać. To się doskonale wyczuwało ze sprawozdań sejmowych. Owcześnie też sejm zdobył się, dla ludzi bezinteresownie pracujących dla kraju przed wojną, na... „Dar z łaski Pana Prezydenta”, jako zaopatrzenie na starość, gdy mu będzie groziła nędza. Upokarzający tytuł tego zaopatrzenia mógł istotnie zrodzić się w głowach niewolniczych, a więc, błagających o łaski ludzi możnych i o korzystających z nich skwapliwie.

Człowiek wolny, niezależny, liczący li tylko na swe własne siły, nie będzie błagał o „dar z łaski”, o jałmużnę; i daj Boże, abyśmy tylko takich obywateli mieli w kraju.

Jeśli wychowanie będzie dobrze postawione, każdy obywatel da sobie radę w życiu, czy pojedynczo, czy za pomocą współpracy, by nie oglądać się za cudzemi łaskami i nie

żebrać na starość. Tę szlachetną ambicję winniśmy w nowych pokoleniach wyrabiać.

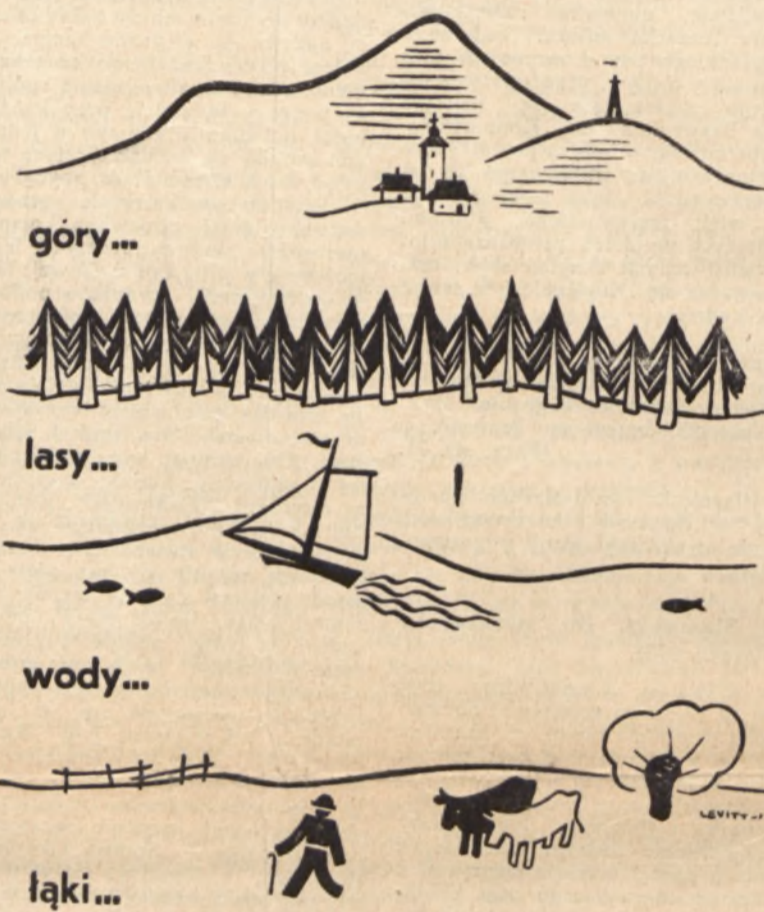
Tymczasem, jak im w nauce o Polsce i Jej ustawach wytłumaczyć istnienie „Dar z łaski Pana Prezydenta”, dla ludzi zmęczonych wiekiem i pracą, a obdarzonych „Krzyżem Niepodległości”, „Polonią Restitutą” i t. p.?

Czy obecna młodzież, której zarzucamy, że za mało żywi idealów, a obecnym ideałem jest przecie również ofiara sił pozostałych od pracy zarobkowej na korzyść dobra ogólnego, — czy ta młodzież zechce tę resztę sił i czasu oddawać zastanawianiu się nad potrzebami ogólnymi i ich realizowaniem, jeśli utrata sił będzie ją zmuszała do robienia podań o „dar z łaski”?

Są wprawdzie ustanowione ubezpieczalnie, ale... termin korzystania z wpłacanych składek, coraz bardziej się oddala. Był ustanowiony po 60 latach życia, obecnie po 65... Liczy się chyba na to, że wprowadzone sporty przedłużą życie do nieskończoności, a zatem i termin wypłaty ubezpieczeń na starość, będzie mógł być przeciwny również do nieskończoności. Po cóż więc wyrabiać szlachetną ambicję wystarczalności jednostki, skoro są sporty i ubezpieczalnie?

Sposoby doszły już nawet do tak wielkiego rozwoju, że odwróciły oczy i serca młodzieży od zagadnień idealów nauki, sztuki, spraw społecznych, filantropijnych, patriotycznych i międzynarodowych, dość, że powstało nowe przysłowicie: „W zdrowem ciele, zdrowe serce”. A że, jak dawne przysłowicie mówi: „pokorne ciele dwie krowy ssie”, trzeba zachować tytuł „Dar z łaski” zaopatrzeniu na starość ludziom obdarzonym orderami za pracę bezinteresowną dla społeczeństwa, by, po niebezpiecznym śpiewaniu za caratu: „Jecz ducha wolnego nie skujają kajdany”, w wolnej Polsce schyliłi kornie głowy, żebrząc o uchylenie od nich śmierci z głodu lub wycieńczenia, na równi z przestępcami kryminalnymi, żebrzącymi o uchylenie od nich śmierci na szubienicy.

Z. Osińska.



góry...

lasy...

wody...

łąki...

to wszystko nie wystarczy dla
przyjemnego spędzenia wyczasów
na letniku, o ile nie zaopatrzysz
się w kuchenkę spirytusową
EMES, która znakomicie ułatwia
prowadzenie gospodarstwa

CENA ZŁOTYCH 10.—

**Ostatni miesiąc warunków ulgowych!
HISTORJA SZTUKI**

1.100 stron, 1.400 ilustracji
26 wkładek artystycznych

warunki ulgowe

zł. 27.— za całość

lub zł. 30.— w trzech ratach kwartalnych — przedłużone do 1 czerwca 1934 r.

Po ukazaniu się całości cena będzie ponad zł. 50.—

żądajcie prospektu

M. ARCT — WARSZAWA

Na ekranach

„OSTATNI Z GOŁOWLEWYCH”
 („Filharmonja”)

Film reżyserji Iwanowskiego „Ostatni z Gołowlewych”, to dramat obyczajowy, rozgrywający się w małej mieścinie rosyjskiej w sześćdziesiątych latach ubiegłego stulecia. Scenariusz wzięty jest z utworu Szczedrina, a wszyscy autorzy filmu, począwszy od reżysera a skończywszy na operatorze, dekoratorze, twórcy ilustracji muzycznej i doskonałych aktorach dołożyli wszelkich starań, by obraz miał odpowiedni kolorysty i jaknajlepiej zachowaną atmosferę epoki. Starania uwieńczone zostały pomyslnym skutkiem i „Ostatni z Gołowlewych” jest filmem doskonale scharmonizowanym, za czarnym, jak na polskie, raczej sielskie gusty, i za ponurym, nie rażącym jednak anachronizmami, czy też zbyt nowoczesnym, niewłaściwym potraktowaniem tematu.

W „Ostatnim z Gołowlewych” dramat pewnej klasy społecznej łączy się ściśle, a może lepiej — jest refleksem dramatu osobistego Judasza-Krwio pijcy, ostatniego potomka szlacheckiego rodu. Odtwórcą roli tytułowej jest wspaniały aktor rosyjski W. Gardin, przypominający stylem gry i sylwetką zewnętrzną Emila Janningsa. O ile jednak tragiczny niemiecki skłonny jest do kabotynizmu, niepotrzebnie często rozmażuje rolę, bawi się w melodramatyczne grymasy, a nawet w pewnych momentach — wyraźnie szarżuje, o tyle Gardin jest spokojny i nigdy nie wychodzi poza ramy dobrej naturalistycznej szkoły gry. Rola ostatniego z Gołowlewych dawała piękne pole do rozwinięcia talentu aktorskiego, będąc jednocześnie bardzo niebezpieczna. Łatwo tu było kreśląc sylwetkę skąpca-okrutnika wpaść w przesadę i dać zamiast portretu — karykaturę. Gardin wyszedł z opresji zwycięsko, tworząc wielką kreację aktorską, dawno w sowieckich filmach nie ogladaną.

O zaletach reżyserji mówiłem już, zaznaczając, że film jest dokumentem epoki, świetnym studjum obyczajowym. Tu warto podkreślić subtelne zarysowanie poszczególnych typów ludzkich, umiejętność stworzenia w ostatnich scenach atmosfery narastającej tragedji (świetna muzyka), no i wspomnieć jeszcze specjalnie o znakomicie wygranym montażowo przedstawieniu „Pięknej Heleny”. Galeria widzów, świetne syntetyczne ujęcie charakteru widowiska operetkowego, doskonała kompozycja rytmiczna poszczególnych scen — oto momenty, które napewno każdemu widzowi utkwią w pamięci na długo. Obok tego naprawdę wzorowo wyreżyserowanego fragmentu, wyróżnić trzeba dobrą ekspozycję i ujmujący całą historję w kłamek refleksji społecznej epilog dramatu (nowa właścicielka).

b.

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590

Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: Tadeusz Świącicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10